Nr. 240. Lwów — Piątek dnia 19 Października. Rok 1894.

Wychodzi w dni powszednie o godz. 4. po południu.

PRZEDPŁATA: we Lwowie ... 4 zł. na prowincyi ... 6 „ [illegible]

„Przegląd" jest do nabycia we Lwowie [illegible]

PRZEGLĄD
POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Dziś: św. Piotra. Jutro: św. Felicyana. [illegible]

Adres Redakcyi i Administracyi: Ulica Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: Ludwik Masłowski.

Wschód słońca g. 6 m. 31. Zachód „ 4 „ 57. Długość dnia g. 10 m. 26. Ubyło dnia od wczoraj 3 m.

Ogłoszenia do „Przeglądu" przyjmuje biuro [illegible] ul. Karola Ludwika l. 9.

Przegląd polityczny.

Lwów 18 października.

Eksperyment z zaprowadzeniem powszechnego prawa wyborczego w Belgii zawiódł jak najzupełniej oczekiwania tego stronnictwa, które przez długie lata w parlamencie o nie walczyło, t. j. liberałów. Katolicy bowiem, przeciw którym w pierwszej linii nowa ustawa miała być skierowana, utrzymali się nadal przy władzy, a jeżeli jeszcze tylko połowa wyborów ściślejszych, w których to jak wypadnie, będą mieli nawet dwie trzecie większości, socyaliści, którzy nie mieli dotychczas ani jednego reprezentanta w izbie, zdobyli już 12 mandatów, a mają nadzieję przy wyborach ściślejszych zdobyć jeszcze kilkanaście, natomiast stronnictwo liberalne, które [illegible] potężną frakcyę o 60 głosach, [illegible] jakby między dwoma kamieniami młyńskiemi, utrzymało się bowiem zaledwie w 7 okręgach. Nawet w swych najsilniejszych warowniach nie zdołali liberałowie przeforsować swoich kandydatów. I tak upadł były prezes liberalnego gabinetu Frère-Orban, który od lat blisko 60 dzierżył mandat miasta Leodyum, upadł także drugi przywódca liberalnego obozu, były minister i słynny mówca Bara. Także inne wielkie ogniska wyborcze, jak: Antwerpia, Lovanium, Maline, Bruegge odwróciły się od liberalnych doktrynerów, a w samej Brukseli grozi im równie klęska przy wyborach ściślejszych. [illegible]

Dla katolików były obecne wybory prawdziwą próbą ogniową, gdyż reforma wyborcza tak z gruntu zmieniła wszystkie stosunki i tak kolosalnie powiększyła liczbę wyborców, że nawet w przybliżeniu nie można było obliczyć, jaki będzie jej rezultat. Dość powiedzieć, że liczba wyborców wzrosła z 138.000 na 1,370.687, a [illegible] systemem pluralnego, t. j. przyznania niektórym kategoryom wyborców po dwa a nawet i po trzy głosy, liczba wszystkich głosów wyborczych wynosiła 2,111.127. [illegible] każdego obywatela, a kto nie stanie do urny i nie odda swego głosu, ten podlega karze.

Jakoż wyborcy stanęli w ubiegłą niedzielę do apelu prawie w komplecie i powierzyli ster państwa nadal katolikom. Jestto tryumf niemały dla katolicyzmu, gdyż ten rezultat wyborów świadczy najwymowniej o tem, iż katolicyzm zapuścił głębokie korzenie w szerokich warstwach ludności i że przewaga jego nie opiera się na żadnych sztucznych kombinacyach lub przypadkowych konjunkturach, ale na rzeczywistym wpływie, na tem, iż większość ludności na prawdę przejęta jest ideą katolicką. Temu tylko zawdzięczyć należy, iż katolicy zwyciężyli w wielu bardzo zagrożonych okręgach, w których antyreligijne prądy skupiły niemal całą swą siłę, aby je zdobyć, że utrzymali się nie tylko we wszystkich dotychczas posiadanych okręgach, ale zdobyli także kilka nowych.

Tryumf socyalistów, gdy mu się z bliska przypatrzeć, nie przedstawia się wcale tak świetnie, jak to w pierwszej chwili rozgłoszono po świecie. Własnych bowiem kandydatów przeprowadzili socyaliści tylko w ogromnych centrach fabrycznych Mons i Charleroi, w których jest źródło wszelkich agitacyi robotniczych, a inne mandaty zdobyli tylko dzięki sojuszowi, jaki zawarli z nimi liberałowie licząc na to, że w innych znów okręgach socyaliści im dopomogą do zwycięztwa, w czem ich jednak rachuba zawiodła. Tem większym za to jest tryumf stronnictwa katolickiego, które nie zawierając żadnych kompromisów, nie kokietując z nikim, ale stojąc niewzruszenie przy swych zasadach, pomimo szalonej agitacyi zarówno liberalnej jak i socyalistycznej, oparło się zwycięsko obu wrogom i rozszerzyło jeszcze swój wpływ i znaczenie.

Przed kilkunastu dniami donieśliśmy o procesie, który się toczył przed sądem wojennym w Kijowie przeciwko 38 osobom (35 Polaków, 2 Ukraińców, 1 żyd), oskarżonym o szpiegostwo na korzyść Austryi. Wszystkich oskarżonych skazano: jednych na ciężkie roboty, innych na więzienie. Otóż z bardzo poważnego źródła dowiadujemy się, iż owych oskarżonych denuncyonowali Czesi, którzy wyemigrowawszy z Austryi osiedli w gubernii kijowskiej.

Z wystawy.

(Pawilon Wydziału krajowego).

VII.

Z pomiędzy wspomnianych trzech krajowych szkół garncarskich, najwyżej pod każdym względem stoją wyroby szkoły kołomyjskiej, co jest i naturalnem następstwem rzeczy, gdyż szkoła ta najdłużej istnieje, a wyroby garncarskie tej okolicy kraju mają swą tradycyę i styl właściwy stworzony przez wyż wspomianego garncarza-artystę samouka, Al. Bachmińskiego.

Szkoła kołomyjska przechodziła od chwili założenia jej, różne i ciekawe koleje organizacyi i zmian kierownictwa, które widoczny wywierały wpływ na wyroby szkolne, jak to uwydatniło umiejętne zestawienie historycznej grupy tych wyrobów, (przedstawiające cztery okresy organizacyjne szkoły, rodzaj wystawy retrospektywnej, obejmującej roboty od czasu istnienia szkoły, aż po czas i stan jej obecny).

Szkoła kołomyjska powstała jako rządowa w r. 1876; z tego czasu posiada ona oryginalne wyroby Bachmińskiego. Dalszy kierunek szkoły przypada w udziale Becherowi w okresie czasu 1880 do 1882, na którego wyrobach jak lichtarzach, dzbankach, flaszkach (bokłakach i czatrach") widzimy w ornamentyce naśladownictwo Bachmińskiego w polewie natomiast przeważający kolor niebieski (ultramarin). Od r. 1882 do 1884 kieruje szkołą Sikorski, poczem przez dwa lata nieczynną szkołą administruje Słowicki, z których to okresów czasu nie przedstawiają wyroby uwagi godnego postępu.

Dopiero z przejściem szkoły w r. 1886 pod zarząd kraju a pod kierownictwem Wal. Krycińskiego widocznym jest zwrot ku lepszemu tak pod względem cennej formy wyrobów, jak dobroci i jakości polewy, poprawności rysunku, stylowego traktowania i czystości oddania całości.

Rzeczywisty okres odrodzenia się szkoły w kierunku prawdziwie postępowej i systematycznej produkcyi wyrobów, rozpoczyna się właściwie z rokiem 1890, t. j. z chwilą kiedy szkoła wchodzi w nową i racyonalną organizacyę pod kierunkiem fachowego technologa Aleks. Klimaszewskiego a nauka rysunków spoczęła w rękach Stan. Daczyńskiego.

W stanie obecnej swej organizacyi przedstawiła szkoła kołomyjska całkowitą działalność swą w zrozumiale pojęty sposób dydaktyczny, więc począwszy od okazów próbek materyału surowego, rodzimego i używanych przymieszek, wyrobów budowlano-dekoracyjnych, jak rur drenowych, dachówek, konsoli itp., nie mniej umożebnione jest ciekawemu widzowi i badaczowi przejście całego procesu przeobrażenia techniczno-artystycznego, jakiemu ulega surowy materyał w ręku wyćwiczonego w rzemiośle swem garncarza, zanim z bezkształtnej masy przybierze estetyczne kształty przedmiotu nieraz prawdziwie artystyczną wartość mającego. Tego rodzaju przejście fabrykatu widzimy na dzbanku glinianym toczonym z ręki w przygotowaniu do „pobiałki", następnie pobiałkowanym, z wykonaną na pobiałce dekoracyą, w końcu wypalonym z polewą.

Po tym naukowym niejako wstępie przedstawia ekspozycya szkolna niezliczoną ilość najróżnorodniejszych okazów przemysłu keramiczno-garncarskiego począwszy od najbardziej prostych, jak garnków, rynek, wazonków, kafli, czarek, misek i dzbanów, o najrozmaitszych formach, kolorach polew i dekoracyjnej ornamentyce, przechodząc w wyroby dekoracyjno-artystyczne, o różnobarwnej polewie stylowej, bogatej dekoracyi a wzorowem wykonaniu. Do tych należą tego rodzaju prawdziwe cacka kunsztu keramicznego, jak tace o bogatej ornamentyce z typowemi [illegible] ozdobami, wazy, urny, dzbany, [illegible], flaszki, flakony, talerze i podstawki fantazyjne, „czutry", wazy indyjskie itp. itp. w różnobarwnych polewach, stylowej, licznemi złoceniami wzbogaconej ornamentyce, z przeważającym kierunkiem stylu kołomyjskiego na motywach Bachmińskiego opartym.

Powszechną uwagę zwracają pomiędzy innymi wyrobami: majolikowa podstawa pod lampę, waza bogato ozdobiona, przedstawiająca na fryzie pochód Huculów, piec kaflowy pięciokątny, oraz oryginalny piec kominkowy, oba w stylu kołomyjskim. Kafle przedstawiają rodzajowe sceny z życia ludu huculskiego, charakterystyczne typy ludowe, widoki budynków wiejskich, cerkwi, postaci świętych, scen z życia ludu itp.; ugrupowane harmonijnie, łączą się one w dekoracyę oryginalną i swojską, bezpretensyonalną a jednak w skromności swej charakterystyczną i piękną.

Tą też właściwą sobie indywidualnością dekoracyi i sposobem oryginalnego jej przeprowadzenia obok zalet technicznego wykonania i artystycznej strony górują wyroby keramiczne szkoły kołomyjskiej po nad innemi tego rodzaju i rokują świetną przyszłość szkole, wyrobom zaś szkolnym bezwzględne pierwszeństwo nawet wobec pozakrajowych tego rodzaju fabrykatów.

Krajowy warsztat garncarski w Toustem założony w r. 1886, a zreorganizowany w r. 1892 wykazuje wyrobami swemi szlachetną dążność współzawodnictwa i chęć dorównania wyrobom kołomyjskim tak pod względem technicznej jak i estetycznej strony. Dowodem tego poważna kolekcya okazów różnorodnego przeznaczenia, kształtu i techniki wykonania, których strona zewnętrzna uwidocznia stosowanie form z tradycyi miejscowego garncarstwa zaczerpniętych, przy użyciu dawnej techniki „rożkowej" w wykonaniu samem, nie wyłączając równocześnie posiłkowania się wzorami, jużto oryginalnie wykonanymi, już zagranicznymi. Z powyższych względów zajmują wyroby krajowego warsztatu w Toustem pośrednie miejsce pomiędzy wyrobami szkoły kołomyjskiej a krajowego warsztatu w Porębie od r. 1889 istniejącego.

Produkcya warsztatu szkolnego w Porębie pojętą jest w daleko mniejszym zakresie, ograniczając się na wyrobach tego rodzaju jak naczyniach kamionkowych do gospodarskiego użytku służących, jużto niepolewanych, już powlekanych trzema kolorami polew jak białej, brunatnej i szafirowej, przyczem tak techniczna, jak zewnętrzna strona wyrobów szkoły tej wykazują niezaprzeczone zalety. C. d. n.

Prof. Tadeusz Münnich.

Premiowanie na wystawie.

W uzupełnieniu lub w skutek reklamacyi otrzymali: Dyplom honorowy Kom. wystawy. Komitet Polaków w Ameryce, za wystawienie pawilonu i wytrwałość w pielęgnowaniu ducha narodowego. Kazimierz Lipiński w Sanoku, za maszyny i przyrządy wiertnicze w kopalniach naftowych. J. Garczychowski, z Warszawy, za konfekcyę mebli salonowych.

Złoty medal Kom. Wystawy. Heischke i Troszel z Warszawy, za wódki i likiery. Bracia Kaszo-Siedlewscy z Warszawy, za wódki i likiery. H. Majewski i synowie z Warszawy, za perfumy i mydła toaletowe. J. Lickendorf i E. et J. Stromenger we Lwowie, za powozy krajowego wyrobu. Bracia Bartik w Krakowie, za pilniki wyrobu ręcznego. Langrock Maurycy w Krakowie, za wyroby z jaj. Krzyżanowski z Poznania, za artystyczne wyroby z cementu. Warszawska rektyfikacya, za wódki i likiery.

Srebrny medal Min. rolnictwa. Franciszek Schofer z Zaszkowa, za wytwory młynarskie i pszenicę łuszczoną. Kron i Neutra z Wiednia, za śrutowniki i młynki.

Srebrny medal Kom. Wystawy. Piotr Kucharski z Krościenka nad Dunajcem, za bulion. Dr. Józef Koszutski z Poznania, za środki hygieniczne. Ignacy Horrych i synowie z Łomnicy w Czechach, za przybory tkackie. Kalardy noverek w Budapeszcie, za sztuczne kwiaty do nauki botaniki. Bolesław Twardowski z Poznania, za chromolitografie, odnoszące się do Kościuszki. Karol Koziowski z Poznania, za piękne wydawnictwa obrazkowe. Mikołaj Zajączkowski z Czerniowiec, za wyroby bednarskie. Zofia Mirosławska, za malowania na tkaninie i porcelanie. K. Gielicki z Warszawy, za wyroby powroźnicze. E. Troczewski z Warszawy za fotografie. Dymetr Kowalski we Lwowie, za rewerendę i czamarę. Mikołaj Ludwik we Lwowie, za bieliznę i hafty. Tytus Turkowski we Lwowie, za wyroby tapicerskie. Franciszek Zajączek w Kętach, za okazy sukna. Karol Łopata we Lwowie, za roboty lakiernicze. Menasche Heinbach we Lwowie, za mydła i świece. Juliusz Kopff w Warszawie, za wyroby szmirglowe. Dr. Andrzej Gońka we Lwowie, za wyroby dentystyczno-lekarskie. Filomena Dziubińska z Krasnego, za wyroby tokarskie. Michał Spożarski i syn we Lwowie, za oprawę ksiąg kościelnych. Jan Zajączkowski z Krasiczyna, za artystyczne wyroby ślusarskie. Antoni Golczewski z Warszawy, za wyrób czernidła, atramentu i smarowidła. Franciszka Pawełka z Temeszvaru, za gorsety. Lubryczyński i Bednarowski z Warszawy, za posadzki cementowe. Stanisław Rożnowski z Krakowa, za wyrób mydła gospodarskiego. Zielonka sekr. Zarz. kółek rolniczych we Lwowie, za wykazy działalności kółek rolniczych i gorliwą pracę w tej instytucyi.

Bronzowe medale państwowe: Karmański i Heller w Krakowie, za farby olejne. Jakób Altberg we Lwowie, za wyroby pozłotnicze. Leon Węglowski we Lwowie, za wyroby ślusarskie. Ludwik Matyaszek we Lwowie, za wyroby stolarskie. Leopold Schächter z Wiednia, za przyrządy do golenia. J. Brojanowski z Brodów, za wyroby szewskie.

Medale bronzowe Komitetu Wystawy: Hr. Helena Tarnowska z Byszowa, za barwną tkaninę lnianą. Anastazy Koniuszy w Tarnowie, za wyroby ślusarskie. Andrzej Bronowski we Lwowie, za wykreślne przedstawienie stosunków zalesienia w kraju. Leszczyński i Moritz w Warszawie, za wyrób lakn, tuszu i atramentu. Adam Czarniakowski, za pomysł zamku elektryczno-automatycznego. Helena Cwojdzińska z Poznania, za sukienkę na puszkę i zasłonę do Przen. Sakramentu. Nikodem Schäffer z Turki, za wyroby ślusarskie. M. Waschitz we Lwowie, za wyroby kaligraficzne. Bieńkowska z Ameryki, za woskowe kwiaty. Józef Pendiuk we Lwowie, za żelazny kosz na kwiaty. Ludwik Korzeniowski we Lwowie, za meble wykonane dla Ski stolarskiej. Pańko Prystawski ze Streptowa, za wzorowe gospodarstwo. Jakubowicz, instruktor uprawy tytoniu, za współpracownictwo w urządzeniu wystawy tytoniu. Zygmunt Jakliński w Jagielnicy, za współpracownictwo w urządzeniu wystawy tytoniu. Józef Hirsten we Lwowie, za współpracownictwo w pracowni stolarskiej A. Bobricha. Roman Grodzicki, maszynista w fabryce Rzący i Chmurskiego w Krakowie. Włodzimierz Nagorzański, tkacz u hr. Oskara Potockiego, współpracujący przy wyrobie makat. Leon Wątorski, współpracownik w introligatorni A. Getritza. Karol Setolla, współpracownik w pracowni ślusarskiej J. Daszka. Dominik Klein, za współpracownictwo przy urządzeniu wystawy Ministerstwa rolnictwa.

Listy pochwalne. Emilia Wollman we Lwowie, za gorliwe kierownictwo robótek dzieci w ochronce przy ulicy Zamarstynowskiej. Tekla i Jan Deskurowie z Niebyłowa, za okazy ropy, wosku ziemnego, asfaltu i farby. Stanisławowa Modlibowska z Gierłachowa, za nalewki. Zacharyasz Oleksiner, za wyroby introligatorskie. W. Wojciechowski z Gniezna, za wyrób krawiecki. Karol Baloch i Franciszek Pączka, za współpracownictwo w pracowni ślusarskiej J. Daszka we Lwowie. Karol Kowalski, za współpracownictwo w pracowni krawieckiej Dymitra Kowalskiego we Lwowie. Jan Ulrich i Tomasz Orzechowski, za współpracownictwo w pracowni stolarskiej A. Bobricha we Lwowie. Jan Szczyrba, w pracowni stolarskiej M. Pawliszaka we Lwowie. Stanisław Zacharajko, w pracowni siodlarskiej E. i J. Stromengerów. Aleksander Grabowski, zarządzca introligatorni Aleksandra Getritza. Karol Stachan, w warsztacie szewskim J. Brojanowskiego.

Dyplom honorowy Komitetu Wystawy: Związek stowarzyszeń zarobkowych i gospodarczych we Lwowie, za skuteczne przyczynianie się do rozwoju tych stowarzyszeń w kraju. Franciszek Křižik z Pragi, za urządzenie całego elektrycznego oświetlenia i utrzymanie w ruchu fontanny świetlnej.

Dyplom honorowy obu Tow. gospodarskich: Jan Paygert ze Streptowa, za plany i przeprowadzenie komasacyi gruntów dworskich i opisanie wzorowego gospodarstwa włościańskiego w Streptowie Aleks. Krzeczunowicz, za okazy ziemiopłodne.

Złoty medal Kom. Wystawy: Breitfeld i Danek w Pradze, za pompy wodne o wentylach precyzyjnych.

Srebrny medal Kom. Wystawy Horak z Pragi, za pasy skórzane transmisyjne. Schipek z Pragi, za liny transmisyjne.

Bronzowy medal Kom. Wystawy: Kierownik stacyi uprawy torfu w Ru'niku i Centar, rządzca w Bolszowcach, za współpracownictwo. Maciaszek, dyr. szkoły ogrod. w Tarnowie, za przygotowanie okazów na wystawę.

Monologi i poezye.

Icek Harmider, felczer, postawił Wojtkowi Bałabanowi z Koziej Wólki cięte bańki tak dokumentnie, że chłop umarł z nadmiernego upływu krwi. Powstała z tego sprawa kryminalna i trzeba było adwokata objaśnić co do przebiegu kuracyi.

Całą tę awanturę wywołali doktorowie — opowiada Harmider adwokatowi — aby się na mnie zemścić. Oni zazdrośni są, że ja im psuję praktykę i dlatego robią takie plotki, że łapię chorych na ulicy, że piszę recepty, że puszczam krew, że przystawiam używane pijawki, że kaleczę bańkami, że podejmuję się robić operacye. Oni też powiadają, że ja potrafię zrobić jątrzącą się ranę takiemu żydkowi, co do wojska ma iść, że potrafię popsuć mu ucho, albo oko, albo zrobić inny feler. Co oni nie powiadają! Oni są źli, bo oni mają doktorskie patenty i do nich ludzie nie przychodzą, — a ja nie mam doktorskich patentów, a u mnie zawsze izba pełna chorych.

Ja jestem tylko felczer, a oni wielkie doktory. Ale co Icek Harmider potrafi, tego dziesięciu doktorów, żeby ich do kupy złożyć, nie potrafią. Temu dwa miesiące nasz pan burmistrz był bardzo słaby na zęby: trzeba mu było wyrwać jeden, trzonowy. On mnie do tego zawołał. Dlaczego doktora nie wołał? I nie zabawiło pół godziny — nie miał zęba. A jaki to był ząb, jaki ząb! Na moje sumienie... A jak naszego aptekarza ciotka miała wielkie bolenie i trzeba było koło niej coś zrobić, to też nie wołali doktora, tylko mnie. Przecie aptekarska ciotka to też osoba. Dlaczego o tem nie jest pisany protokuł? I dlaczego o tem nie jest pisany protokuł, że stara Boruchowa umarła, choć był u niej jeden doktor i drugi doktor i później na konsylium trzech doktorów? Dlaczego o tem nie ma protokuł, jak o tym Wojtku Bałaban?

Powiadają, że ja jemu krew puściłem, temu kwartał, że na to są dwa świadki i znak na ręku. Oni mają dwa świadki, co niby widzieli, jak ja krew chłopu puściłem, a ja mogę zaraz postawić dwieście świadków, co tego wcale nie widzieli. A znak? Co to jest znak? Do zrobienia znaku wcale nie potrzeba felczera... Chory mógł się zadrapać, mógł się sam

---

66)

OD JUTRA.

Powieść współczesna z papierów familijnych spisana przez *Maryana Gawalewicza*.

(Ciąg dalszy).

Słuchała tego i czuła wdzięczność dla ojca, który w tych słowach pragnął jej otuchy dodać, i że dla niej uśmiechnie się pogodniejsza przyszłość, że i dla niej szczęście zabłyśnie, więc nie powinna się smucić, nie powinna płakać, wątpić i tą cichą, bolesną rezygnacyą się przejmować.

Ona zaś mówiła sobie:

— Pan Bóg łaskaw, bo znosić pozwala, co boli; Pan Bóg łaskaw, bo sił dodaje i wytrwania, bo nie opuszcza w potrzebie i w chwilach najcięższych, bo zakrywa przyszłość przed naszemi oczyma i pozwala przed nią stać z nadzieją w duszy; ale czyż można niepodobieństwa się spodziewać?... czyż można i przeszłość zakryć tak szczelnie, aby jej nie było wcale widać, aby się dała zapomnieć zupełnie?...

Nie spodziewała się zresztą niczego więcej dla siebie i nie chciała się łudzić nadarmo.

Postanowiła żyć tylko dla drugich, dla nich, dla swoich ukochanych, w ich szczęściu i zadowoleniu szukać zadosyć uczynienia tego, czego się sama dla siebie wyrzec musiała.

Od chwil jednak rozmowy z ojcem myślała o Zdzisławie z jakiemś uczuciem przejednania; lżejsze wydawała się jej teraz myśl o nim i to jej ulgi sprawiało.

Na nowy rok pan Mieczysław otrzymał list z życzeniami od kanonika, a w liście wiadomość pod sekretem największym udzieloną, która ojcowskie serce jego rozgrzała, jak promień słońca.

„Ani się Dobrodzieje moi spodziewacie — pisał proboszcz — co Was czeka za niespodzianka zaraz po powrocie do Dziadowej! A toż z pierwszą wizytą wybiera się do Państwa sama Zabłotowska i to w sprawie swojego Zdzisia. Tak, tak!... przyrzekła to już solennie synowi i uczyni.

„Przygotujcie się, Szanowni moi Państwo, na te odwiedziny, po których będę się musiał o tę obiecywaną od tak dawna stułę upomnieć, abym miał czem ręce związać nowożeńcom przy ołtarzu.

„Tylko, na miłość Boską, sza o tem jeszcze do czasu!... sprzeniewierzam się bardzo zaufaniu Zdzisia, pisząc do Dobrodzieja mojego w tej materyi, ale jako ojca uprzedzić chciałem, aby też zasięgnąć pouflnie wiadomości, czego się w danym wypadku Zabłotowscy spodziewać mogą; czy się dostanie mój faworyt arbuza, albo szarej polewki na tej wizycie, bo to jakoś tam dawne rachunki z Wami, czcigodni moi Państwo, a szczególniej z panną Maryą, o którą głównie chodzi, nie były w porządku.

„Nie przystoi mi mieszać się tak bardzo i w szczegóły wdawać, ale jako sługa Boży mam prawo, a nawet obowiązek odezwać się, gdy chodzi o zbawienie utrapionej duszy nietylko tam, w wiekuistej światłości, ale i tu jeszcze, na tym ziemskim padole; więc się też odzywam i przemawiam i submituję w sprawie tego zacnego Zdzisia Zabłotowskiego, który — co tu ukrywać — rozmiłowany jest w córce Waszej, łaskawi moi Państwo, a stanąwszy z winy wypadków niefortunnych w wielce fałszywej i przykrej pozycyi, cierpi na tem i martwi się i gnębi wewnętrznie od lat całych tak bardzo, że aż żal patrzeć na niego.

„Wiem ci ja wprawdzie, że pobłądził i nie okazał hartu prawdziwie męzkiego w danej chwili, kiedy był powinien stanąć, jako *vir*; z tego wszelako sądzić go jeszcze nie należy, bo to, co się w nim z jednej strony winą wydaje, z drugiej inaczej się przedstawia. Najgorszą w życiu bywa kolizya między dwoma obowiązkami, ale ważniejszy powinien zwyciężać, a cóż ważniejszego jak nie obowiązek synowski!

„Nie umiem ja się rozpisywać w tej kwestyi szeroko, ale da Bóg, to pogadamy kiedyś o tem w cztery oczy; na teraz tylko gorącem sercem z życzliwości starego przyjaciela i sąsiada domu Waszego, Szanowni Państwo, dzielę się wiadomością, jaką powziąłem z ust samego Zdzisia, któremu matka przyrzekła naprawić, co zepsuła i zaapelować osobiście do rodzicielskiej Waszej instancyi w sprawie szczęścia a spokoju swojego jedynaka. Daj to Panie Boże, aby wszystko złe tak się na dobre obróciło, jako w tym wypadku!"

Słowiński nad listem kanonika siedział zadumany i uśmiechał się od czasu do czasu, podnosząc tylko brwi w górę i głową kręcił, powtarzając jakby z wielkiem zdziwieniem:

— No, no...

Choć go jednak bardzo korciło, aby Maryni o tej ważnej ewentualności szepnąć słówko, zamknął usta i stosownie do życzeń kanonika milczał.

— Co ma być, niech się stanie; wola Boża! — mówił sobie i roił w samotnych rozmyślaniach swoje plany na przyszłość, ale spokojniejszy się czuł i cierpliwości nowej nabrał.

O Chocholewiczach przychodziły wieści coraz gorsze.

Mikołajek w domu zdrowia siedział zamknięty, niby to na kuracyi, niby pod obserwacyą; rozpowiadano o nim, że zbzikował zupełnie, że już nigdy do rozumu nie wróci.

Przywidywały mu się dzikie bestye, które skakały na niego, siadały mu na piersiach, gryzły go i drapały; rzucał się wtedy, krzyczał, opędzał marom, tworzonym przez mózg alkoholem przesiąkły i musiano go wiązać, nakładano nań kaftan, jak na furyata, usypiano narkotykami, a kiedy do przytomności przychodził, płakał i dopraszał się, aby go wypuszczono na wolność i odwieziono do brata.

— To kryminał przecie — jęczał — siedzę w kryminale, to żaden dom zdrowia. Po co wy mi takie bajdy powtarzacie?.. ja dobrze wiem, że mnie zamknęli za ten proces ze Słowińskim. Paweł się wykpił, bo to cygan, ho, ho!... a ja pokutuję za niego.

Nie chciał uwierzyć, że się znajduje na kuracyi i doktora nazywał „panem sędzią", a służących, którzy przy nim czuwali, uważał za dozorców więziennych.

Obawiał się mówić głośno, nie ruszał się ze swojego łóżka i podejrzliwie z pod oka przypatrywał się wszystkim; ruchy jego miały coś kociego teraz, chodził na palcach, skradał się pod drzwi, pod okno, a gdy go kto zeszedł z nienacka, cofał się szybko, jak spłoszony i z przestrachem wracał na swoje miejsce.

Paweł nie odwiedzał brata wcale w zakładzie; przysyłał za niego pieniądze, ale nawet się nie dowiadywał, czy mu jest lepiej, czy jest jaka nadzieja uratowania go jeszcze.

W Dziadowej także rzadko teraz przebywał.

Z Domicelką swoją wyjeżdżał raz po raz i ginął na kilka tygodni, zaniedbując gospodarstwo, pozostawione na łasce Opatrzności i ekonoma, który nibyto pełnił obowiązki rządcy.

Pomimo zaciętego uporu i wykrętnej obrony, przewidywał jednak, że niedługo już będzie jego panowania, więc chwycił się systemu rabunkowego i niszczył majątek, ile się dało.

— Niech odbiera! — odgrażał się na wspomnienie Słowińskiego — niech odbiera, jeżeli będzie miał co!... ja mu się ustąpię, o ustąpię, skoro tylko sąd każe, ale mnie jeszcze wnuki jego popamiętają.

Wyżlewicz ciągle mu nowe kruczki podsuwał, coraz to jakąś nową „piłę" wymyślał i mrugając jednem okiem, uśmiechał się tryumfująco.

— A co?... zjedzą dyabła, jeżeli teraz ten orzech zgryzą! — mówił — oni swoje, a my swoje. Prawo prawem, a spryt sprytem. Pan wie, co jeden Francuz powiedział?... Powiedział, że adwokaci są jak praczki, każdy kręci w przeciwną stronę, a kręcą póty, póki kapie. Cała sztuka w tem, żeby dobrze kręcić. My to potrafimy, co?... Albo to nie było procesów, co się przez sto lat i dłużej toczyły?...

Paweł sapał, jak foka, pięścią w stół walił, że aż szklanki na nim podskakiwały i zęby zaciskał.

(Ciąg dalszy nastąpi).

skaleczył, a może ukąsił go jaki robak, może za wielkiem przeproszeniem pchła.

— Pan adwokat chce wiedzieć całą prawdę? No, ja powiem. Że chłop chory był, to jest prawda, że się leczył u tego samego doktora, co mnie skarży, naprawdę nie jest całkiem prawda: ale co to panu adwokatowi szkodzi, kiedy ja dam czterech świadków, co mogą przysiądz, że prawda... O tę krew, co niby ja miałem z chłopa wypuścić krew, temu kwartał, — to ja nic nie pamiętam. Może to trochę prawda, ale mnie się zdaje, że nie prawda, bo nie ma na to żaden dowód, tylko znak. A kto zrobił znak? Albo ja wiem? Są inne takie ryzykanty, między felczerami. Ja nie chcę nikogo skarżyć, nie jestem żaden denuncyant, ale mi się zdaje, że tę krew puścił Berek Pistolet, drugi felczer z naszego miasteczka, co, będzie temu dwa miesiące, wyjechał z żoną i z dziećmi do Ameryki. Czy on puszczał krew Wojtkowi, ja nie wiem, ale mamy świadki, że on. Pyta pan adwokat, czy ja mogę być pewnym moich świadków? To wszystko porządni obywatele; nie było zdarzenia, żeby oszukali kogo w takim interesie itd.

W ten sposób objaśnia Harmider adwokata przez usta Klemensa Junoszy, kto bowiem śledzi choć pobieżnie naszą współczesną belletrystykę, domyślił się twórcy pomysłowego felczera. Nikt nie potrafi się u nas tak, jak Junosza, wcielić w duszę żyda z gminu.

Począwszy od „Łaciarza", stworzył Junosza długi szereg sylwetek żydowskich, z których połowa przeżyje autora. Typów swoich nie szuka on w kantorach, salonach i buduarach bankierskich, jak Gawalewicz, nie mechesa lub cywilizowanego izraelitę maluje, lecz żyda z ludu. Najlepiej odpowiada jego talentowi starozakonny, ocierający się bezpośrednio o wieś, o szlachcica i chłopa, więc: arendarz, karczmarz, handlarz zboża, lichwiarz, kupiec małomiasteczkowy, rzemieślnik, furman. W tem kółku obserwacyj nie dorównał mu u nas dotąd nikt. Jest to jego specyalność, jego własność wyłączna.

Jako obserwator, jako skrzętny zbieracz owych drobnych rysów, z których składa się człowiek zewnętrzny, należy u nas Junosza do sił pierwszorzędnych. Jego uważnemu oku nie ujdzie najbłahszy szczegół charakterystyczny. Umie on korzystać z ruchów danego typu, z jego ubrania, sposobu wyrażania się, z jego spojrzeń i gestów.

Talenty drobiazgowe mają to do siebie, że poruszają się najswobodniej w ramach szczupłych. Większa ilość osób, sytuacyi, wypadków odbiera im pewność oka i ręki. Przywykłe do chwytania każdego szczegółu, nie umieją poświęcić części dla całości, przeładowują one zwykle dzieła obszerniejsze przystawkami, które psują harmonię kompozycyi. Inaczej buduje powieściopisarz a inaczej nowelista.

Junosza, chociaż pisze także poczytne, rozchwytywane nawet powieści („Pająki"), jest z talentu swojego nowelistą. Subtelnemu obserwatorowi udają się najlepiej sylwetki, obrazki, portrety. Jego obrazom społecznym braknie przejrzystości i spoistości.

Jako nowelista stoi Junosza w pierwszym szeregu naszej beletrystyki. Niewiadomo, komu przyznać pierwszeństwo, Prusowi, czy jemu.

Do rodziny nowel należy zaliczyć wiązankę „Monologów" Junoszy (nakład Teodora Paprockiego), obejmującą czternaście drobiazgów. Wszystkie typy, które autor „Łaciarza" szczególnie miłuje (żydów, chłopów, szlachtę), odnajdujemy w tym tomiku. Są między „Monologami" sylwetki wprost znakomite, opowiadania, którym nic ująć i nic dodać niemożna. „Icek Harmider", „Straszna noc", „Maciek Wiecheć u doktora", „Biały koń", „Niepocieszony Wojtek" nie zatrą się nigdy.

Oprócz bystrego oka obserwatora, posiada Junosza jeszcze inny, bardzo cenny przymiot. Jest on humorystą z temperamentu, a humorystą w najlepszym gatunku. Cudze głupstwo nie gniewa go, lecz bawi. Nie zrzędzi on nigdy, ale uśmiecha się życzliwie. Ten jego humor zjadliwy wtedy, gdy trzeba odmalować podłość, okrucieństwo (lichwa), spełnia doskonale zadanie swoje, kiedy dany typ jest tylko karykaturą. Łagodzi on brzydotę samolubstwa i pospolitego szachrajstwa. Żydzi nie powinni się obrażać na Junoszę. Są oni w oświetleniu jego dobrego humoru więcej zabawni niż odstraszający. Tragiki nie lubi poczciwa muza autora „Łaciarza". Jej łzy nie palą, jej skarga nie złorzeczy ani bluźni. Serdeczna, optymistyczna, wierzy ona w poczciwość nawet występnych.

I Michał Wołowski wydał „Garść monologów" (nakład Juliana Granowskiego), do których dołączył jednoaktowy obrazek sceniczny p. t. „Ostatni grosz".

Monologi Wołowskiego mają cel inny. Przeznaczone dla wymienionych obok tytułów aktorów i aktorek (dla pp. Wolskiego, Czaskówny, Wojdałowicza, Kotarbińskiego, Frenkla, Szymanowskiego, Mrozowicza), uwzględniły one przedewszystkiem właściwości szczególnych artystów. Nie o zaokrąglone, wykończone sylwetki danego typu szło autorowi, lecz o wyzyskanie jakiegoś momentu, odpowiadającego najlepiej rodzajowi uzdolnienia tego lub owego wykonawcy. Junosza napisał szereg nowel, Wołowski zaś garść istotnych monologów w rozumieniu teatralnem. Autor dramatyczny, obyty ze sceną, z jej wymaganiami i środkami wywoływania efektu, przepisał aktorowi dokładnie każdy giest i każdy odcień gry mimicznej. Tworząc drobiazgi, miał ciągle na myśli estradę i widział przed sobą wykonawcę, którego warunki i właściwości zna dokładnie.

Bardzo szczery i miły jest monolog Wołowskiego p. t. „Dobranoc", napisany dla p. Czaskówny, bardzo charakterystyczny „Kujawiak wedle oberka", przeznaczony dla p. Kotarbińskiego, wszystkie zaś odznaczają się lekkością dykcyi i odpowiednią zręcznością. Liczne teatry amatorskie powitają niezawodnie „Garść monologów" z prawdziwą przyjemnością.

Do nowości rozpoczynającego się sezonu należą także „Poezye" Włodzimierza Zagórskiego, nowa serya znanej „Teki Chochlika" (nakład Teodora Paprockiego).

W „Poezyach" Zagórskiego jest z każdego rodzaju potrosze. Część pierwsza zawiera dwadzieścia sześć drobniejszych utworów na różne tematy, począwszy od błahostki, przeznaczonej do albumu, aż do filozoficznego „Psalmu tęsknoty". Część druga wypełnia żartobliwy „Poradnik dla konkurentów" (studyum filozoficzno-psychologiczno-etnologiczne), w trzeciej przedrukował Zagórski znany poemat liryczny w trzech pieśniach p. t. „Król Salomon", w czwartej pomieścił przekłady i naśladowania.

Wiadomo, że Zagórski jest przedewszystkiem niepospolitym mistrzem formy. Jako prozaik bardzo starannym stylistą, ugniata on jako rymotwórca język, niby wosk posłuszny. Słowo nagina się u niego bez oporu do każdej potrzeby, giętkie i dźwięczne.

Usposobieniem krytyk, radzi sobie Zagórski najlepiej z tematami treści satyrycznej. Jego „Tercet", „Rozmowa pijaka z księżycem", „Bieda biedy biedzie", „O niej", „Śnił mu się szatan we własnej osobie", należałyby w każdej literaturze do perełek humorystycznych.

Wraca sobie „strąbiony pijanica" późną nocą do domu i wiedzie z księżycem rozhowor następujący:

— Niby od czego ty właściwie jesteś, stary durniu?

Za matką ziemią biegniesz wciąż,
Dzierżąc się jej fartuszka,
I tylko kłopot z tobą ma
Poczciwa ta staruszka.

To słońca jej zasłaniasz twarz
Pogrążasz nas w [illegible],
To ją wciąż łonem wstrzymasz jej
Sromotnie bez szacunku.

Cyklony groźne na nią ślesz
I na plag domiar jeszcze
Sprawiasz, że wyją do niej psy,
I wiersze piszą wieszcze.

Po niebie płaczesz się, jak ćma,
Gdzie [illegible] nie posieje,
Tam wschodzisz trupi jego blask.
Lecz światło twe nie grzeje.

Blachman pokrywa oczy twe
I nocą masz zapity,
Choć pijesz—cha, cha!—tylko mgły,
Ty, głupi satelito!

W oczach gwiazd tyś cienia jest
A dniesz się wielkim panem,
Myśląc, że imponujesz mi
Twem światłem pożyczanem.

Idyoto ty — mądre świat,
A mówią nam gwiazdziarze,
Że jednej karczmy nie ma tam
Na całym twym obszarze.

Więc na co właściwie stworzył ciebie Bóg, ty, srebrny niedołęgo? — pyta „pijanica strąbiony".

A księżyc odpowiada:

— Nie sarkaj, bratku... Wszak to ja
Pijakom do dom świecę...

Ale nie zawsze bawi się Zagórski kosztem pijaków, grajków, kobiet i t. d. Wykształcony wszechstronnie po literacku, czuje on potrzebę owej harmonii między człowiekiem, a otaczającym go światem, która była ideałem cywilizacyi. Wówczas nastraja się jego wyobraźnia na lutnię liryczną, skarżąc się na niemoc człowieka. Znany jest powszechnie „Król Salomon" Zagórskiego, oceniony należycie przez chętnych i niechętnych.

Dośpiewką do „Króla Salomona", wydanego po raz pierwszy w roku 1878, jest „Psalm tęsknoty" (*La nostalgie du divin*). Obydwa te utwory stanowią jedną całość i zaznaczają dwa główne momenty owej ewolucyi pojęć, jaką pod wpływem doktryn nowożytnej filozofii przechodzić musi każdy umysł trzeźwy i nieuprzedzony, jak sam autor w przypisku objaśnia.

Poeta-myśliciel, przebywszy pustynię negacyi, wrócił ostatecznie do deizmu.

I chwała Tobie, żeś w duszę człowieka
Wszczepił tę tęsknotę za nieśmiertelność,
Co majestatem skrzy jego obleka,
I krzepi ducha, w nim męstwo i dzielność,
I jad ziemskiego zatruwa cierpienia
I śmierć nadzieją życia opromienia.

I bądź sławiony, że w trosce i mroku
Pozostawiłeś mu świętą tęsknotę,
W której łez pełnem przegląda się oku,
Jak w fali słońce przegląda się złote,
I które świadczy o Tobie — jak fala
Świadczy o słońcu, gdy się niem zapala...

Nową seryę „Z teki Chochlika" zamyka przekład dramatu Coppe'ego pt. „Ojcze nasz", tak doskonały, że dorównywa oryginałowi.

Teodor Jeske-Choiński.

List do Redakcyi.

(Podwody po księży katechetów).

Od niepamiętnych czasów, gdy jeszcze w gminach wiejskich nie istniały szkoły etatowe, posyłano czy to w niedzielę po południu, czy też w dniach powszednich podwodę parokonną po księdza, który przyjeżdżał do gminy i w oznaczonym domu uczył sposobem katechizmowym religii dzieci i starszych. Po utworzeniu szkół etatowych gminy przywoziły księdza do szkoły również podwodą parokonną. Ten obowiązek władze szkolne objęły ustawą powtórzoną w § 8 rozporządzenia z dnia 1 grudnia 1889 i żądają, by gminy przysyłały po księdza „stosowną podwodę."

W ostatnich czasach w niektórych gminach, dotąd jeszcze nielicznych, pokątni doradzcy wójtów, dbali o swą popularność i chcący uchodzić za gorliwych orędowników włościan, a skrycie dla siebie układający plany na korzyść materyalną, wpłynęli, że poczęto posyłać po księdza, udającego się do szkoły, podwodę jednokonną. Ten sposób postępowania począł nawet znajdywać posłuch w sferach mających prawo rozstrzygania sporu między księdzem a gminą.

Stosowna tedy pora do odezwania się w tej sprawie. Chociaż dotychczas nikt nie począł wpływać, by ustawę nakazującą przywieźć urzędnika państwowego, autonomicznego, oficera lub żandarma podwodą, „forszpanem" zwaną, tłómaczono w ten sposób, że pod podwodą rozumieć należy zaprzęg jednokonny, chociaż nikt nie wystąpił przeciw zwyczajowi używania przez wójtów parokonnego „forszpanu", gdy udają się w zastępstwie gmin do starostwa lub urzędu podatkowego, to nie trudno doczekać się będzie można, iż jednokonna będzie z reguły przeznaczona dla księdza katechety. Przyzwyczajono się bowiem żądać od księży nietylko dozwolonych lecz nawet przesadnych ustępstw.

Co do podwody jednokonnej zważyć należy, że w zasadzie wystarczyłaby ona dla księdza katechety, gdyby on miał tyle czasu do dyspozycyi, iżby przy jego czynnościach parafialnych nie czyniło mu to różnicy, czy o dwie godziny wcześniej lub później ze szkoły powróci. Trzeba atoli wziąć pod rozwagę, iż w gminach wiejskich przed południem bezwarunkowo ksiądz do szkoły wyjechać nie potrafi z powodu zajęcia ściśle kościelnego, pozostaje mu więc dla szkoły tylko popołudnie. Przy nader szczupłej płacy kongrualnej, jaką ksiądz pobiera, w niektórych parafiach co tydzień trzy, cztery, nawet sześć razy wypada mu szkoły odwiedzić bez wynagrodzenia za tyle godzin. Niektóre z tych szkół oddalone są o 5 a czasem i o 15 kilometrów od jego zamieszkania, zwłaszcza w okolicach górskich. Wspomniani doradzcy wójtów nie zastanawiają się nad następstwem, które w razie wydania zarządzenia, by po księdza jednokonną podwodę posyłać, niezawodnie wyniknąć musi, mianowicie, że zamiast uczyć dzieci przez dwie godziny, będzie ksiądz uczył je tylko przez jedną godzinę, a nawet i krócej.

Pracującemu w kościele nieraz od 6-tej godziny zrana do południa zajętemu odwiedzaniem chorych, nikt z pewnością nie odmówi księdzu godziny obiadowej do 1-szej, przypuściwszy zaś, że o tej godzinie podwoda czekać będzie, i że zaraz wyruszy z księdzem, to jednym koniem niekiedy przez właściciela za 7 złr. często za 20 złr. a rzadko za 60 złr. kupionym zdąży ksiądz do niejednej szkoły dopiero o godzinie 3-ciej. W miesiącach zaś jesiennych i zimowych niepodobna dzieci zatrzymać w szkole nawet do godziny 4-tej z uwagi na zmierzch i odległość domów mieszkalnych, do których dzieci bardzo często nie drogą gminną lecz ścieżkami ciągnącemi się wzdłuż brzegów wysokich i około potoków wracają.

Kiedy zaś zdąży ksiądz do szkoły, jeżeli podwoda zjawi się przed jego mieszkaniem dopiero o godzinie 2-giej, lub jeżeli ta podwoda jednym koniem zaprzężona, nie mogąc przejechać rzeki górskiej nie mającej mostu — a takich rzek w kraju bardzo wiele, — w jesieni przy wyższym stanie wody, lub w zimie przy cienkiej warstwie lodu, powiezie księdza aż przez sąsiednią gminę, przedłużając drogę z 10 kilometrów na 20?

Wrzekomi orędownicy ludu wiejskiego doradzając podwody jednokonnej chcą przynieść mu ulgę, tym zwłaszcza mieszkańcom wsi, którzy osiedli w gminach o kilkudziesięciu zaledwie domach i którzy skutkiem tego wrzekomo za często są obowiązani starać się o konie po księdza. Trzeba jednak zważyć, że i w takich małych gminach nawet raz w roku nie przypadnie ta powinność na każdego gospodarza, bo odliczywszy miesiące wakacyi i dnie świąteczne, czas 40-dniowy przed wielkanocą, gdy ksiądz jeszcze cały dzień zajęty jest w kościele, dnie, w których podwoda nie przyjedzie, choroby, itp., to pozostanie dla nauki religii zaledwie 30, a rzadko 40 połówek dnia. Przyznać trzeba, że niewiele to czasu, aby skutecznie działać na religijno-moralne kształcenie dzieci, a ileż czasu dopiero znajdzie się wtedy, gdy jednokonną podwodą ksiądz szkoły odwiedzać będzie?

Pleban w Makowie.

Do pp. prenumeratorów!

Numera „Przeglądu" z pierwszej połowy października są zupełnie wyczerpane, przeto też wszystkich tych pp. prenumeratorów, którzy spóźnili się z odnowieniem przedpłaty, zapisaliśmy nie od pierwszego, lecz od piętnastego października.

Przy tej sposobności przypominamy, że za każdą zmianę adresu należy uiścić 20 ct. i że bez tej opłaty adresu nie zmieniamy.

Administracya „Przeglądu".

KRONIKA.

Lwów 18 października.

Odezwa. Celem porozumienia się co do wyboru posła do sejmu z grupy większej posiadłości dawnego obwodu stryjskiego, który ma się odbyć dnia 8 listopada b. r. mamy zaszczyt prosić P. T. wyborców na przedwyborcze zgromadzenie na dzień 7 listopada br. o godzinie 3 po południu do lokalności stryjskiej rady powiatowej. — *Stanisław Komarnicki. Karol hr. Dzieduszycki. Kaźmierz Winnicki.*

Raut. W pałacu Namiestnikowskim odbędzie się w niedzielę dnia 21 b. m. wielki raut na cześć arcyksięstwa Leopolda Salwatora i jego małżonki. PP. Namiestnikowstwo pragną w ten sposób dać możność szerszym kołom towarzyskim pożegnania opuszczających miasto nasze arcyksięstwa, którzy podczas pobytu swego we Lwowie pozyskali wszędzie żywe sympatye.

Zmiana własności. Dobra Kamionka Strumiłowa z przyległościami, będące własnością Heleny hr. Mierowej, nabył Andrzej hr. Potocki za sumę dwóch milionów dwakroć sto tysięcy zł.

Konkursa. Rada szkolna okręgowa rozpisała z terminem do końca listopada konkurs na kilkanaście posad nauczycielskich.

Ucisk kościoła katolickiego na Litwie. Przed kilku dniami donieśliśmy, że gubernator Orżewski skazał ks. Alfreda Moczulskiego, proboszcza w Parafianowie na Litwie, na zamknięcie w klasztorze Franciszkańskim w Grodnie przez 6 miesięcy za „wrogie zachowanie się względem prawosławia", polegające na tem, że ks. Moczulski jako kapłan katolicki usiłował odwieść swego parafianina, wieśniaka, rz.-kat. wyznania, od żenienia się z prawosławną. Owóż dowiadujemy się, że notatka powyższa była w części mylną, a mianowicie „owo wrogie zachowanie się względem prawosławia" nie polegało na tem, że ks. Moczulski usiłował przeszkodzić małżeństwu swego parafianina z prawosławną, bo do tego nie miał żadnej możności, lecz na tem, iż kapłan ów tak wychowywał swych parafian w wierze katolickiej, iż jeden z nich, stojąc wiernie przy Kościele, nie pozwalał synowi swemu żenić się z wdową prawosławną. Pod rządem rosyjskim więc za to, że ktoś jest wiernym katolikiem, skazują jego proboszcza na karę.

60.000 zł, główną wygranę lwowskiej loteryi wystawowej, jak krążą pogłoski, miało wygrać Towarzystwo oszczędności kobiet czeskich w Pradze.

Biskupem sufraganem archidyecezyi lwowskiej w miejsce ks. Puzyny, który ma zasiąść na stolicy biskupów krakowskich, zostanie mianowany ks. dr. Józef Pelczar, prof. uniw. Jagiellońskiego i kanonik kapituły krakowskiej.

Urzędnicy biura wystawowego urządzili onegdaj serdeczną owacyę sekretarzowi wystawy p. J. K. Zielińskiemu. O godzinie 12-tej w południe wręczyli mu tekę z fotografiami swojemi, ozdobioną monogramem emaliowanym, przyczem w kilku słowach przemówił najstarszy z urzędników, p. Maryan Linde, podnosząc zasługi pana Zielińskiego, jako szefa biura i prosząc, aby wszystkich mile zachował w swojej pamięci. Pan Zieliński podziękował w bardzo serdecznych słowach, a podnosząc, że harmonia jaka panowała w biurach wystawy przyczyniła się do jej powodzenia, zaznaczył, iż chwila ta jest najmilszą dla niego nagrodą, dar zaś, jaki mu ofiarowali, pozostanie dlań na zawsze najcenniejszą pamiątką.

Wycieczka konno. Porucznik krakowskiej dywizyi trainu Wiktor Raczeński i podporucznicy Julian Chmielewski, Jan Irmisch i Czesław Meczszewski urządzili konno wycieczkę z Krakowa do Lwowa. Przestrzeń 335 klm. przebyli w 36 godzinach. Odpoczywali 2 razy po 5 godzin. We Lwowie stanęli w niedzielę po południu; jeźdźcy i konie mają się jak najlepiej.

Krakowska Akademia sztuk pięknych. Z Wiednia donoszą, iż prof. Józef Brandt nie przyjął ofiarowanej mu posady dyrektora krakowskiej Akademii sztuk pięknych po śp. mistrzu Matejce. Dyrektorem przeto mianowany zostanie artysta malarz Henryk Rodakowski, profesorami zaś artyści malarze: Krudowski z Rzymu, Grocholski z Monachium, Aksentowicz a ewentualnie i Stachiewicz.

Rada szkolna krajowa na posiedzeniu z dnia 15 bm. uchwaliła: przekształcić od 1 listopada 1894 szkoły ludowe: 3-klasową w Grzegórzkach na 4-klasową; 1-klasowe w Kolbuszowej górnej, Widełcu, Jezierzanach, Oleszy, Zagwoździu na 2-klasowe; zatwierdzić wybór Bolesława Chodzińskiego w Sokołowie, na reprezentanta zawodu nauczycielskiego do Rady szkolnej okręgowej w Kolbuszowej; wybór Jana Lisowskiego w Stratynie, na reprezentanta zawodu nauczycielskiego do Rady szkolnej okręgowej w Rohatynie; zamianować Stanisława Strzeszyńskiego nauczycielem w Demni wyżnej ad Skole; Wandę Majkowską nauczycielką w Mszanie dolnej; Antoniego Weissa zastępcą nauczyciela w seminaryum nauczycielskiem w Rzeszowie; zatwierdzić w zawodzie nauczycielskim w gimnazyach: Andrzeja Jaglarza w Tarnowie; ks. dr. Bronisława Karakulskiego w Rzeszowie; Stanisława Majerskiego we Lwowie.

Egzamina. W dniach 1 do 15 b. m. odbyły się w Namiestnictwie egzamina dla samoistnych gospodarzy leśnych, tudzież dla straży i technicznych pomocników w służbie leśnej. Złożyli egzamina na samoistnych gospodarzy leśnych: Witold Pracki i Alojzy Bozowski, 1 kandydata reprobowano na rok. Egzamina dla straży i technicznych pomocników w służbie leśnej złożyli: Alfred Kriner, Tadeusz Bodakowski, Jarosław Harasimowicz, Tadeusz Münzger, Edmund Schönovitz, Franciszek Winiarski, Antoni Adamowicz, Julian Baczak, Stefan Biliński, Władysław Bułakiewicz, Józef Ciuk, Józef Fiala, Zdzisław Grabowski, Jan Jankowski, Feliks Jaworski, Maksymilian Jaworski, Maryan Karczewski, Józef Krasiczyński, Franciszek Krynicki, Maryan Ostafiński, Nimrod Scherer, Józef Schneider i Adolf Spanily, 9 kandydatom pozwolono ponowić egzamin w roku przyszłym.

Car wskutek swej choroby jest rozdrażniony i tak ciągle obawia się zamachu na swe życie, iż jadąc ze Spały do Liwadyi kazał na wszystkich stacyach kolejowych pozmieniać naczelników.

Donoszą nam prywatnie, iż car nie chce wcale jechać na Korfu i nie zamyśla utworzyć regencyi, chociaż rodzina usiłuje go do tego nakłonić.

Główna wygrana losów Jó-sziv w kwocie 18.000 zł. padła na s. 1758 nr. 35, po 1000 zł. wygrały losy: s. 977 nr. 15 i s. 5518 nr. 78. Główna wygrana losów serbskich w kwocie 90.000 franków padła na s. 1393 nr. 31, 10.000 fr. na s. 1559 nr. 17, 3500 fr. na s. 4382 nr. 35.

Ciekawy proces. *Gaz. Gdańska* pisze: Z początkiem roku bieżącego zawiadywał ks. Wilkans parafią katolicką w Godziszewie. W parafii tej żył ewanielicki robotnik Grand, który w grudniu roku ubiegłego wziął ślub w urzędzie stanu cywilnego i w kościele luterskim z dziewczyną katolicką. W styczniu rb. przyszła Grandowa do księdza W. z prośbą, aby jej dał ślub w kościele katolickim. Ks. Wilkans oznajmił jej, że to niedozwolone, a nadto, że biorąc ślub w kościele protestanckim, kobieta popadła w klątwę kościelną. Pod pewnymi warunkami mogłaby jednakże napowrót być przyjętą na łono Kościoła katolickiego; w tym celu przyrzekł ks. W. starać się o upoważnienie i odpowiednie wskazówki w Pelplinie. Kobieta zgodziła się na wszystko, a więc ks. W. do Pelplina napisał, a po pewnym czasie oznajmił Grandowej, że nadeszło upoważnienie do przyjęcia jej napowrót na łono Kościoła katolickiego po złożeniu przez małżonków przyrzeczenia, iż dzieci po katolicku wychowywać będą. Pewnego piątku przybyła Grandowa do kościoła, aby ksiądz z niej zdjął klątwę. Ks. Wilkans kazał jej jednakże przyjść w następną niedzielę. W niedzielę wygłosił ks. W. kazanie o małżeństwach mięszanych, wskazując, że są one szkodliwe i w gruncie rzeczy niedozwolone. „Wiecie — skończył kaznodzieja — że i w naszej parafii taki smutny wypadek zaszedł, a teraz zobaczycie, jak się dokonywa przyjęcia powracających na łono Kościoła katolickiego osób". Następnie zszedł ks. Wilkans z kazalnicy, zasiadł na krześle, zawołał Grandową, kazał jej uklęknąć, a odmawiając psalm, uderzył ją 10—12 razy lekko przez plecy powrózkiem. Powrózek ten miał kilka węzłów, a nie był grubszy niż szpagat od cukru. Nie chodziło tu więc o karę cielesną, lecz o dopełnienie ceremonii kościelnej. Kobieta wiedziała o tem dobrze, poddała się ceremonii dobrowolnie, a mężowi bynajmniej się nie skarżyła. Mimo to, dowiedziawszy się o owych uderzeniach sznurkiem, sprowadził Grand lekarza i kazał żonę zrewidować, ale lekarz nie znalazł najmniejszego śladu uderzeń. Następnie zwrócił się Grand do prokuratora, który też wytoczył ks. Wilkansowi proces. W terminie w Stargardzie wysłuchano 12 świadków. Obrońca wykazał, że nie może być mowy o pobiciu, ani karaniu, a cała czynność była tylko przepisaną w rytuale katolickim ceremonią kościelną i miała znaczenie symboliczne. Sąd uznał ks. Wilkansa winnym czynnej i publicznej obrazy i skazał go na 100 marek kary. Wyrok sądu starogardzkiego dowodzi, że istnieją jeszcze ustawy antikatolickie, które krępują Kościół w jego najważniejszych sprawach, a których ofiarą jest znany z swej kapłańskiej gorliwości i zacny ks. Wilkans. Sprawa poszła do Berlina i Lipska.

Związek chłopski. Dnia 9 bm. odbyło się w Nowym Sączu walne zebranie stowarzyszenia „Związek chłopski". Obradom przewodniczył p. Żardecki. Zebranie było liczne, przybyło przeszło 300 członków Związku, a między innymi posłowie Klemensiewicz, oraz Jan i Stanisław Potoczkowie. Po wysłuchaniu nabożeństwa uczestnicy zgromadzenia zebrali się w sali „Sokoła". Obrady rozpoczęły się od przemówienia posła Stanisława Potoczka, który tłumaczył zebranym cel i zadania Związku chłopskiego, wyjaśnił znaczenie pojęcia zgody i łączności

---

158)

WOJCIECH DZIEDUSZYCKI.

ŚWIĘTY PTAK.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA.

(Ciąg dalszy).

Ale to nie były żadne mary. Była to Elpinoe w towarzystwie zbrojnego Diomedonta.

— Precz! precz! — krzyknęła Hesz-Aker przeraźliwie, — ja was nie chcę! Nie pójdę z wami, za nic w świecie nie pójdę.

Coś w Greczynce zawrzało dzikim gniewem, kiedy te słowa usłyszała. Zawołała:

— Nie pytam się czy chcesz, czy nie chcesz? Musisz teraz iść ze mną.

Wymówiwszy te słowa, chwyciła Egipcyankę za rękę. Ale jakaś dziwna siła znalazła się u Hesz-Akery. Opuściwszy na ziemię dzbanek i bułkę, odepchnęła niewolnicę tak, że się aż zatoczyła.

Elpinoe nie upadła jednak, odzyskała równowagę, wyprostowała się i zawołała na Diomedonta:

— Chwytaj czarną gołębicę!

Diomedont rzucił się na Egipcyankę i chwycił ją za obie ręce. Kapłan przemożony trwogą, uciekał w kierunku miasta, wołając bezradnie o pomoc. Hesz-Aker szamotała się, krzycząc, ale nie mogła się wyrwać achajskiemu bohaterowi, który ją wlókł gwałtem za sobą. Padła na kolana, ale musiała na kolanach postępować za Diomedontem.

Krogulec uleciał był z ramienia dziewczyny w chwili, w której się zaczęło szamotanie i krążył kwiląc tuż nad jej głową. Kiedy barbarzyniec zaczął dziewczynę wlec po ziemi, wydało się jak gdyby ptak zrozumiał nagle sprawy ludzkie. Chciał obronić tę, która się z nim tak często pieściła, która mu tylekrotnie pokarm podawała i spadł nagle na twarz Diomedonta, wpajając pazury w jego oczy.

Diomedont opuścił ręce Hesz-Akery z przeraźliwym jękiem boleści. Usiłował oderwać ptaka z twarzy, ale ile razy jego się tknął silną dłonią, uczuwał tylko ból bardziej nieznośny. Bo szpony krogulca tkwiły silnie w powiekach, a ptak opędzał się od rąk skrzydłami i dziobem.

Elpinoe, widząc niebezpieczeństwo niespodziane kochanka, rzuciła mu się na pomoc. Krogulec, silnem uderzeniem dzióba pokrwawił jej rękę. Elpinoe i Diomedont padli na ziemię szamocąc się z nieubłaganym ptakiem. Elpinoe wydobyła spinkę ostrą, a na kilka cali długą, przytrzymującą jej szatę i uderzyła nią całą siłą w pierś krogulca; ptak zakwilił głośno i boleśnie, wydobył szpony z oczu powalonego Greka i uleciał, zostawiając w ręku Elpinoi spinkę połamaną i pokrwawioną. Kawał spinki pozostał w ciele krogulca; uleciał z nim w powietrze.

Diomedont leżał na wznak i wydawał okropne głosy. Elpinoe pochyliła się nad jego twarzą, aby zobaczyć, co mu się stało, ale wśród nocy i w cieniu piramidy niczego nie mogła dostrzedz wyraźnie. Zdawało jej się jednak — zdawało — że oczu nie było już w twarzy młodego bohatera, że miejsce ich zajęły dwie krwawe, ohydne rany. Dotknęła się lekką dłonią twarzy kochanka i serce w niej zamarło. Tak jest, piękny Diomedont był ślepcem i kaleką; krew jego sączyła się po palcach Elpinoi. Porwała się za głowę, wyrywała sobie włosy i głośne swoje narzekanie pomięszała z jękami kochanka.

— Zabij mnie! zabij! — wołał Diomedont. — Nie chcę być ślepcem! Nie chcę, aby mnie Egipcyanie na śmierć zamęczyli!

Greczynka popadła w dziki szał boleści, wydobyła miecz Diomedonta z pochwy i uderzyła kochanka dwa razy całą siłą w piersi, a potem wetknęła z konwulsywnym wysiłkiem ostrze we własne łono.

Amento przywołany krzykiem, przestrzeżony przez uciekającego kapłana, nadbiegł na miejsce tragedyi. Ujrzał dwa trupy leżące na ziemi i stanął nad nimi zdziwiony.

Hesz-Aker uszła była do stóp piramidy Amenemhy III i tam się kuliła, wzywając opieki przodka. Ujrzała gromadę Amenty nadbiegającą i zawołała płaczliwym głosem o pomoc. Amento był w okamgnieniu przy niej.

Wtem pieśń wojenna Achajów rozbrzmiała po nocnem powietrzu. Barbarzyńcy szli na odsiecz Diomedontowi, szli toczyć bój z Egipcyanami i porywać zadatek zwycięstwa, Hesz-Akerę.

Zrozumiał to Amento, a nie wiedział, wiele nieprzyjaciół tam być mogło. Zawołał tedy:

— Uchodź, Hesz-Aker do wnętrza grobowca! Tam będziemy się bronić, tam jedyna dla ciebie nadzieja.

Hesz-Aker usłuchała. Wbiegła do ciasnego krużganka, przez który przeszła schylona, dotykając się rękoma bocznych ścian. Przez chwilę szła w górę po stromych schodach. Uderzyła się głową o sufit; pochyliła się, lazła na czworakach, wnet szła w dół — sunęła się w dół, aż się gdzieś znalazła na równej posadzce, wśród zupełnej ciemności. Czuła jednak, że była w jakiejś obszerniejszej izbie; była sama z umarłymi.

Tymczasem Amento uszykował swoich ludzi do obrony.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

w stronnictwie, a radząc, aby walczył o swe żądania z taktem, cierpliwością i sprawiedliwością, zachęcał do oświaty i podniósł, że na polu otrzymali włościanie zrównoważenie ciężarów gmin z ciężarami obszarów dworskich co do prestacyi szkolnych. Mówił także o wybieraniu posłów ze stanu włościańskiego i o zakupnie dóbr wystawionych na licytacyę w celach parcelacyjnych, aby w ten sposób powiększyć rozdrobnione dziś zbytnio grunta włościańskie; mowa uważa to za obowiązek narodowy. Zakończył słowami: „Pracujmy z Bogiem za Ojczyznę i za prawa nasze."

Z kolei przewodniczący odczytał telegram gratulacyjny od ks. Zaklińskiego z Tarnobrzeskiego, a następnie dr. Romer, prezes Rady powiatowej, powitał zgromadzenie, zapewniając, że kraj pragnie podnieść stan włościański, i będzie popierał chłopskie stronnictwo, byle chciało się ono szczerze oprzeć na zasadzie katolicyzmu i narodowości.

Odczytany przez sekretarza Związku Jana Potoczka (młodszego) protokół ostatniego posiedzenia przyjęto bez zmiany. Ten sam referent przedstawił także sprawozdanie z czynności zarządu w roku zeszłym. Sprawozdanie to, podobnie jak sprawozdanie komisyi kontrolującej (referent Jan Skwara z Targowisk) przyjęto i ustępującemu zarządowi dano absolutoryum z wyrażeniem uznania za dobrą i oszczędną gospodarkę.

Następnie przedsięwzięto wybory. Prezesem nadal wybrano posła Stanisława Potoczka, a do zarządu wchodzą: poseł Jan Potoczek, Jakób Jodłowski, Józef Chrzanowski, Tomasz Ciągło, Józef Maciaszek, Stanisław Uryga, Szczepan Kotlarz.

Z kolei poseł Stanisław Potoczek przedstawił sprawozdanie o organie Związku. Referent podniósł, że na poprzedniem walnem zgromadzeniu przyjęto za organ stronnictwa *Wieniec i Pszczółkę*, redagowane przez ks. Stojałowskiego. Zarząd Związku miał w tym celu zawrzeć z ks. Stojałowskim ugodę, przyczem zastrzeżono ewentualność zawarcia podobnej ugody w danym wypadku z innem czasopismem. Po długich rokowaniach w tej sprawie zawarł zarząd Związku ugodę z ks. Stojałowskim pod następującymi warunkami: Pismo *Wieniec i Pszczółka* ma być redagowane według zasad Związku, przeto nie może być antireligijnem, nie może zajmować się sporami religijnymi, nie ma zajmować się kwestyą polsko-ruską, nie zajmować się sprawami osobistymi, a wytykając szkodliwe błędy władz rządowych i autonomicznych, winno to czynić z taktem i bez złości, a nie przekraczać granic należnego uszanowania. Sprawy osobiste redaktora mogą być umieszczane tylko na ostatniej stronicy. Gdyby pismo wykraczało przeciw tej ugodzie, należy redaktora upomnieć, a po dwukrotnem upomnieniu bezskutecznem ugoda może być zerwaną. Program stronnictwa i zawarta ugoda winny być ogłoszone w najbliższym numerze pisma.

Otóż ugodę tę z ks. Stojałowskim zarząd „Związku" widział się zmuszonym zerwać, a to z następujących powodów: Ks. Stojałowski już przed zawarciem ugody nazwał *Wieniec i Pszczółkę* z góry „organem stronnictwa chłopskiego", w czem [illegible] lekceważenie partyi. Dalej ugody [illegible] podpisał ks. Stojałowski po odczytaniu jej w domu brata sprawozdawcy, w Rdziostowie. Mimo to oświadczył ks. Stojałowski na zebraniu zarządu, że tylko pierwszą połowę ugody akceptuje, drugiej zaś ugody nie chce. Programu i ugody w czasopiśmie swem nie chciał umieścić, a w końcu w numerze 102 roku 1893. wydrukował tylko pierwszą połowę ugody, przeciw czemu zarząd „Związku" zaprotestował. Już wtedy — mówił referent — można było ugodę zerwać, lecz byliśmy cierpliwi. Ks. Stojałowski przez wydanie w tym rzekomo naszym organie swego „sylabusa", spowodował protesta ze strony duchowieństwa, co wywołało polemikę religijną; stało się to znowu wbrew ugodzie — zarząd zaprotestował, ale nie zrywał jeszcze z ks. Stojałowskim. Ks. Stojałowski pod firmą „Związku" naraził nas niewinnie na niesprawiedliwy zarzut. Przeciw listom biskupim, zabraniającym czytania jego pism, wystąpił znów w swem pismie a naszym „organie", nader zjadliwie, wszczynając w ten sposób napowrót polemikę religijną; zamiast, jeśli miał pretensyę do księży biskupów, udać się do Rzymu ze skargą, oddawał tego rodzaju spory pod sąd ludu i tem religię obrażał. Wobec tego zarząd nie chcąc odpowiadać za tendencye pisma, [illegible] powziął uchwałę, że *Wieniec i Pszczółka* nie może być uważane nadal za organ stronnictwa, zerwał ugodę zawartą z ks. Stojałowskim i utworzył własny organ pod redakcyą Stanisława Potoczka pt. *Związek chłopski*.

Następnie przemawiał ks. Stojałowski, który przybył na zgromadzenie jako gość i redaktor *Nowego Wieńca* i *Pszczółki*. Twierdził on, że gdy walne zgromadzenie „Związku" w r. 1892 uznało jego pismo za swój organ, miał prawo zaraz w pierwszym numerze nazwać je „organem Związku". [illegible] Gdy [illegible] w Rdziostowie, [illegible] osnową [illegible] odpisuje [illegible] jeszcze przed- [illegible] Stojałowski [illegible] „jego [illegible] że Potoczkowie [illegible] obrzeniu [illegible] charakteru [illegible] drobnostkowe [illegible] Stolicy [illegible] wydaje [illegible] się bronili [illegible] „wodnie". [illegible] wśród [illegible] sprawa [illegible] walne [illegible].

Zabierali następnie głos włościanie Jan Skwara z Targowisk i Jan Król z [illegible] powiatu, potępiając [illegible] religijnemi, [illegible] *Nowy Wieniec i Pszczółka* [illegible] niepotrzebnie [illegible] tylko [illegible].

Następnie zabrał głos ks. Jakób Żabecki i oświadczył, że przez 19 lat prenumerował pisma ks. Stojałowskiego, [illegible] pisma [illegible] mogąc [illegible] ks. Stojałowskiego. Następnie [illegible] na sobie artykuł [illegible] karta [illegible] sądzie Bożym. Oświadczając Wam o tem — mówi — przestrzegam Was przed fałszywymi prorokami w owczej skórze a z duszą wilka. [illegible] ofiagrodzie [illegible].

Ks. Stojałowski przemawiał po raz drugi. Chce ugody z Potoczkiem i żąda uznania *Nowego Wieńca* i *Pszczółki* za organ „Związku", ponieważ Potoczek nie miał upoważnienia tworzyć nowego organu. Występuje gwałtownie przeciw Potoczkom, zarzucając im, że stronnictwem chłopskiem zawładnęli we własnym interesie. Postępowanie Potoczków nazywa niehonorowem i przedstawia je jako zdradę stronnictwa. Co do osobistej sprawy podniesionej przez księdza Żabeckiego, oświadcza, że ks. Żabecki go obraził, na co on mu *odpisał*; osnowy odpowiedzi nie pamięta; autorem owej karty korespondencyjnej nie był on, lecz otrzymawszy ją, odesłał ks. Ż. aby wiedział, co o nim mówią ludzie. (Słowa te wywołują w zgromadzeniu oburzenie i krzyki nieprzyjaźne przeciw ks. Stojałowskiemu). Ks. Stojałowski mówi dalej, że gdy Rzym uznał pisma jego rzekomo za katolickie, niech ks. Ż. nie czyni się wyższym od Rzymu. Mówca uderza następnie tak zaciekle na szlachtę, iż komisarz wezwał przewodniczącego, aby mówcę przywołał do porządku. Pomimo to, ks. Stojałowski dalej się miotał do tego stopnia, że przewodniczący na ponowne wezwanie komisarza, mimo protestów p. Stapińskiego, odebrał ks. Stojałowskiemu głos. Lud oburzony na księdza Stojałowskiego, wołał: Za drzwi z nim! — Wreszcie, gdy przywrócono spokój, przemawiał jeszcze ks. dr. Góralik, proboszcz z Nowego Sącza i włościanin Myjak z Zagórzyna, obaj przeciw ks. Stojałowskiemu i jego pismom, na co ks. Stojałowski usiłował jeszcze odpowiadać, poczem — na podstawie jednomyślnej uchwały — postanowiono czasopismo *Związek chłopski* uważać za organ stronnictwa a odrzucić *Wieniec* i *Pszczółkę*.

Z kolei zdawał członek zarządu Uryga sprawę z wniosku co do wyboru posłów. Mówił o potrzebie rozbudzania ruchu wyborczego po powiatach i o organizacyi wyborczej, a w końcu stawia w tym duchu wniosek, który z pewnemi zmianami uchwalono po przeprowadzonej dyskusyi. Tymczasem wielu członków Zgromadzenia, spiesząc się do pociągu, opuściło salę, — a pod przewodnictwem posła Stanisława Potoczka zakończono Zgromadzenie w obecności około 60 członków. Wnioski te tyczyły się kwestyi legalizacyi dokumentów (o uzyskanie pewnych formalnych ułatwień co do legalizacyi w sądach, i o zniesieniu przymusu legalizacyjnego dla aktów prawnych do 100 złr. — (referent Tomasz Ciągło), oraz kwestyi reformy wyborczej (referent Chrzanowski z Siedlec.) Co do tej ostatniej Zgromadzenie oświadczyło się przeciw powszechnemu głosowaniu dla gmin wiejskich, a za zaprowadzeniem wyborów bezpośrednich. W końcu polecono zarządowi starać się o wyplenienie z kół włościańskich pism *Wieńca* i *Pszczółki*, oraz wszystkich pism socyalistycznych. Zebranie zakończył o godzinie 5 popołudniu Stanisław Potoczek przemową, w której życzył Związkowi pomyślnego rozwoju.

Ks. Stojałowski, opuszczony przez swych dawnych zwolenników, na 2 godziny przed końcem posiedzenia opuścił salę. Związek chłopski zerwał z ks. S. zupełnie, a pozbywszy się *Wieńca* i *Pszczółki*, pozostał przy własnym organie. Lud na Zgromadzeniu obecny z oburzeniem występował przeciw ks. Stojałowskiemu i gdyby nie interwencya władzy w sali, a opuszczenie miasta przez ks. S., mogło było przyjść do poważnych zajść przeciw osobie ks. Stojałowskiego.

Z praktyki lekarza. Z Kossowa nam piszą: Los zagnał mnie w kąt może najpiękniejszy w całym kraju, kędy kwitną róże i dojrzewają owoce. Powietrze zdrowe, czyste, aromatem z drzew szpilkowych i lip przesiąknięte, uzdrawia wszelką chorobę, nawet melancholię, która niknie wobec widoków pięknych na góry i pagórki lasem poszyte, i na doły zasypane siołami!

Mówię tu o Kossowie i okolicy, które przez nas lekarzy uznane zostały w obecnym czasie jako najniebezpieczniejsze siedliska cholery. Dziwne to! I dziwiąc się, zaczynam wierzyć w jakiś dopust Boży, w karę za winy nieodpuszczone.

Pomór przybrał tu wielkie rozmiary; padają ludzie, gdyby wśród gradu kul. Straszni są w konaniu. Szybki rozkład ciała czyni trupy jeszcze strasznieiszymi. Nieporządki przytem w miasteczku i na przedmieściach kolosalne. Gnój, śmiecie, latami całemi gromadzone koło chat i sadyb. Ludność, tak żydowska, jak i chrześcijańska prawie dzika, pełna przesądów, widzi w lekarzu i w żandarmie wroga, który sprowadził chorobę, zaś dla zysku pomaga rozprzestrzenianiu się jej i truje chorych.

Dwa tygodnie temu rozporządził lekarz powiatowy desinfekcyę studzień wapnem niegaszonem. Środek dobry i skuteczny. O mało jednak do buntu nie przyszło. A gdy mimo tego żandarmerya wapno do studzień wsypała, to od tej chwili lekarze nie są pewni życia.

Inną razą rewizya w domach żydowskich wykazała: dwa trupy w piwnicy i dwu konających, schowanych w skrzyni. Fakta te poświadczają dobitnie, że ma się do czynienia z bezgranicznie dzikiem usposobieniem, na które rady innej nie ma, chyba ta węgierska, niedawno w *Przeglądzie* podniesiona.

Uprzedzenie przeciw lekarzom rozkrzewiło się także w gronie inteligencyi miejscowej i w komitecie ratunkowym. Zamiast pomocy, doznajemy wstrętu ciągłego i zawiści niewytłumaczonej, nawet tak idącej daleko, że jeśli wierzyć pogłoskom, nie wzdryga się kiwać głową ten lub ów potakująco, gdy zasłyszy o zatruwaniu chorych przez lekarzy.

Przy takich zapatrywaniach i stosunkach, przychodzę do przekonania, iż dopustem Bożym jest nietylko cholera, ale również los, który lekarza rzuca w stronę, gdzie słońce zapadło w pomroku.

Germanizacya. Z Sokalskiego nam piszą: W tych dniach przeniesiono w Bełzie urząd pocztowy do innego lokalu i dawny napis polski „C. k. urząd pocztowy" zastąpiono napisem „K. k. Post und Telegraphenamt". Wprawdzie u spodu tablicy przy użyciu szkieł powiększających spostrzedz można coś niby po polsku pisanego, ale w obec olbrzymich liter niemieckich aberacya wzroku uniemożliwia odcyfrowanie. Taka sama tablica uświetnia urząd pocztowy w Sokalu. Należałoby zapytać, dla kogo właściwie są te napisy? Rozumując logicznie, napis niemiecki jest dla Niemców, a gdzie są wyłącznie Niemcy, tam i kraj jest niemieckim. Ani w Bełzie, ani w Sokalu nie ma Niemców na lekarstwo i kraj nie jest niemieckim; przeto dlaczego napisy są niemieckie?

Ze Stryja nam donoszą: Drugie z rzędu przedstawienie w obecnym sezonie urządziło tutejsze kółko amatorskie na dochód budowy gmachu „Sokoła". Przedstawienie rozpoczęto wesołą komedyjką Domnika p. t. „Dzieci muzy," w której młodzież akademicka przed wyjazdem na dalsze studya znakomicie się popisywała. Następnie odegrano Blizińskiego „Ciotkę na wydaniu". Gra naszych amatorów, biorących udział w tej sztuce, była zupełnie poprawną. Zaś punktem kulminacyjnym wieczoru było przedstawienie „Dramatu jednej nocy". Znana w kraju b. artystka ruskiej sceny pani Biberowiczowa podobała się bardzo dzięki grze wystudyowanej, to też całkiem słusznie obrzucono ją bukietami. Doskonale dostrajali się do całości bardzo dobry Wańka, Fiedor i Żabr. Sala była szczelnie zapełniona inteligentną publicznością.

Drogi galicyjskie. Otrzymujemy następujące pismo: Ośmielam się prosić o łaskawe zwrócenie uwagi na zły stan dróg w powiecie żółkiewskim, gdyż może przynajmniej w ten sposób dowiedzą się o tem ci, którzy powinni dbać o to. Niektóre okolice tego powiatu są pod tym względem tak zaniedbane, jak może żadne w osławionej i tak, pod względem jakości dróg, Galicyi. Drogi w tych stronach na tę nazwę nie zasługują wcale, gdyż są to po większej części ścieżki leśne, wydeptane pomiędzy drzewami, a jazda po nich nawet w dzień jest nietylko niebezpieczną, ale można powiedzieć, zabójczą. Mosty nadgniłe lub spróchniałe dopełniają tego smutnego obrazu. Częste są też oczywiście wskutek tego nieszczęśliwe wypadki.

I tak niedawno jeden z obywateli wracając wieczorem do domu z Żółkwi załamał się na jednym z takich mostków, przyczem konie ciężko pokaleczyły się, a on sam tylko cudem ocalał. Podczas rozprawy sądowej, która była następstwem tego wypadku, wyszło na jaw, że mostku tego nikt nie naprawia, gdyż żadna gmina do niego przyznać się nie chce. W innej wsi małe dziecko gajowego załamało się na głównym moście, prowadzącym przez rzekę Żełdec i spadło z piątrowej wysokości do wody. Dzięki przytomności kilku obecnych dziecko ocalało, a po zbadaniu mostu pokazało się, że belek, na którym ono przypadkowo stanęło był zupełnie przegniły, wskutek czego nawet ciężaru dziecka unieść nie mógł.

Wypadki te powinny zwrócić uwagę odnośnych władz i pobudzić je do jakiegoś działania. Niechaj rada powiatowa nietylko tam naprawi drogi, gdzie mieszkają jej członkowie, ale niech pomyśli i nad innymi, którym niestety nie przypadł w udziale zaszczyt zasiadania w radzie.

Wizyta biskupia. Z Naddniestrzańskiej Topolnicy 15 października donoszą: Dziś odbyła się tu wizytacya kanoniczna g. k. parochii przez ks. biskupa *Pelesza*. Cała ludność parafii zebrała się na przywitanie swego władyki, a także liczny zastęp duchowieństwa ze wsi okolicznych i obywateli.

Wiadomość o zapowiedzianej wizytacyi naszego Staromiejskiego dekanatu, przyjęliśmy z tem większą radością, że ostatnia wizytacya, jak kroniki świadczą, odbyła się przed 80-ciu laty!

W całym dekanacie z zapałem i uczuciem wdzięczności witano Arcypasterza i jak najświetniejsze wszędzie zgotowano mu przyjęcie.

W naszej miejscowości już od granicy towarzyszyła banderya mołojców biskupowi do rezydencyi czcigodnego naszego parocha ks. Teodora Lewickiego.

W rzewnych słowach powitał Go proboszcz u progu świątyni, składając symbolicznie, przez wręczenie klucza od cerkwi, w ręce biskupa władzę, którą ks. Lewicki przez 32 lat jako paroch tu dzierży. Na piękne jego przemówienie serdecznie mu biskup odpowiedział.

Przed bramą tryumfalną licznie zebrani honoracyorowie z paniami oczekiwali przybycia biskupa, gdy Arcypasterz wysiadł z powozu, powitał Go najpierw tutejszy kolator i dziedzic p. Błażej Rudnicki, tudzież prefekt gminy szlacheckiej p. Józef Skałkowski.

W sam dzień uroczystości odbyło się przy licznej asystencyi duchowieństwa nabożeństwo solenne w cerkwi przepełnionej. Sam biskup miał kazanie.

Przy uczcie w gościnnym domu ks. Lewickiego wychyliliśmy wzniesiony przez gospodarza i przez Marszałka naszej Staromiejskiej rady powiatowej p. Kazimierza Bielańskiego piękny toast i „Mnohaja lita!" na cześć i pomyślność Najdostojniejszego Arcypasterza, za który w ciepłych słowach dziękując ks. biskup wzniósł toast na pomyślność wspólnego działania duchowieństwa i obywateli.

Lekarz a zbrodniarz. Donosiliśmy w swoim czasie, że w Niemczech zdarzył się niedawno oryginalny wypadek, iż przed sądem karnym stawał lekarz, wybitny operator, który dokonał operacyi na pewnym chorym wbrew jego woli i woli jego ojca. Otóż za to pociągnięto go do odpowiedzialności sądowej. Lekarz udowodnił, że operacya była konieczną, że bez niej chory byłby umarł, że wreszcie udała się znakomicie a pacyent jest obecnie zupełnie zdrów. Sąd wysłuchał tej argumentacyi i orzekł, że operacya wbrew woli interesowanych jest zwykłem obrażeniem ciała i że lekarza za nią karać się powinno tak jak zbrodniarza, który kogoś skaleczył!..

Z izby sądowej. Pod przymusem (§ 242) staje jako świadek Dr. Leon Pawęcki adwokat krajowy, szwagier Lewickiego. Zaraz z początku zaznacza, iż nie chęć usunięcia się od zeznań lecz ciężkie nieszczęścia domowe nie dozwoliły mu stanąć przed sądem. Proszony, by zeznawał po polsku, oświadcza stanowczo, iż tego nie uczyni. Świadek nie wie czy śp. profesor Ogonowski pracował nad słownikiem. Z Audykowskim mówił po wyjściu prospektu, dziwiąc się wówczas, iż w podaniu pomocniczych materyałów pomiędzy innymi autorami nie znalazł nazwiska śp. Ogonowskiego. Dziwiło go to wówczas z tego powodu, ponieważ wiedział, iż śp. Ogonowski zajmował się żywo terminologią. Będąc pewnego razu u Lewickiego, zastał go świadek zajętego w kancelaryi, w obec czego, chcąc z nim pomówić, czekał nań w salonie. Tam na biórku było mnóstwo papierów, manuskryptów a między tymi zobaczył świadek arkusz pisany przez śp. Ogonowskiego. Papier ten zrobił na nim wrażenie manuskryptu słownika; czy słowa niemieckie tam były, nie wie, gdyż nie przyglądał się. Ponieważ wiedział, iż Lewicki dostał skrypta pozostałe po Ogonowskim, nie dopytywał się, gdyż, nie obchodziło go to bynajmniej w jakiej formie słownik wyjdzie i w jakim charakterze Lewicki na wydaniu będzie figurował. Audykowski będąc u świadka mówił, iż Ogonowski słownik zostawił a Lewicki wziął i pytał go czy również i na niego powołać się może. Wówczas powiedział mu świadek, by robił co chce, lecz jego do sprawy nie mięszał, bo on nie wie czy ten arkusz był ze słownika i nie mógłby z całą świadomością zeznać a w końcu był przeciwny wywoływaniu sporów i awantur w rodzinie. Z Hilarym Ogonowskim mówił także o słowniku, mianowicie, że widział pismo śp. Ogonowskiego u Lewickiego, lecz radził, aby sprawę tę w jakikolwiek sposób załagodzono i nie dopuszczono do publicznych skandali w łonie rodziny. Były chwile, że sam wierzył w podejrzenie swoje co do słownika, Lewicki jednak tłómaczył mu, iż to być nie może, że się myli, że mógł widzieć pismo manuskryptu Ogonowskiego z prawa cywilnego, który był u niego. Że Lewicki pracował nad słownikiem, o tem świadek wie, bo nieraz śmiał się z narad lub sprzeczek jego z teściem ks. Emilianem, prowadzonych nad tem lub owem słowem. Na różne pytania pp. obrońców podaje, iż nie wie, co mógł komu nieraz „in der Hitze des Gefechtes" powiedzieć.

Następuje konfrontacya z p. Hilarym Ogonowskim. Obydwaj pozostają w sprzeczności, mianowicie Hilary Ogonowski obstaje przy tem, iż Pawęcki mówił mu wyraźnie, że miał w ręku manuskrypt Ogonowskiego, że był słownik i widział literę F. Dr. Pawęcki przeczy temu, a Hilary Ogonowski powołuje się wówczas na swoją przysięgę. Również nie pamięta dr. Pawęcki, czy czytając sprostowanie dr. Lewickiego powiedział do Audykowskiego „kogo Pan Bóg chce ukarać temu rozum odbiera". Audykowski przypomina świadkowi, iż gdy raz mówili o tej kradzieży słownika, miał go świadek prosić o danie słowa honoru, iż o treści rozmowy nie dowiedzą się Emilianowie Ogonowscy, „bo boi się tej strasznej baby".

W ogóle jest dr. Pawęcki zdania, iż taka sprawa powinna być załatwiona w rodzinie. Aby wytłómaczyć czytelnikom tę ustawiczną mowę o rodzinie, zaznaczamy na tem miejscu, iż oskarżony Audykowski jest bratem p. Aleksandry Ogonowskiej, żony śp. profesora, p. dr. Lewicki zaś zięciem ks. prof. Emiliana Ogonowskiego brata śp. Aleksandra.

Na popołudniowem posiedzeniu żąda dr. Grek zawezwania profesora uniwersytetu Augusta Balasitsa jako świadka na okoliczność, iż śp. Ogonowski często z nim o swoim słowniku mówił i dodawał, że trzeba przed śmiercią go ukończyć. Trybunał przychyla się do żądania dr. Greka i uchwala zawezwać prof Balasitsa.

Ostatni świadek Włodzimierz Lewicki, kuzyn dra Lewickiego, zeznaje, iż pomagał mu nieraz w pracy nad słownikiem, wypisując z rozmaitych podręczników wyrazy. Następuje rzecz najmniej spodziewana, a mianowicie po dłuższem przemówieniu odstępuje dr. Krosiński imieniem swego klienta dra Lewickiego od oskarżenia, poczem trybynał wydaje wyrok uwalniający pp. Audykowskiego i Gulaja od oskarżenia, a skazujący dra Lewickiego na zapłacenie kosztów postępowania karnego.

Tak tedy zakończono sprawę, która bądź co bądź nigdy nie powinna była być roztrząsaną publicznie. Odstąpienie dra L. wywołało sensacyę.

Jak się dowiadujemy, sprawa ta roztrząsaną jest w izbie adwokackiej od roku.

Przez cały czas trwania rozprawy sala przepełnioną była publicznością ruską.

Stan powietrza. T. o 8 rano + 3° R. w poł. + 6° R. Bar. 763. Podnosi się. Pochmurno.

Z humorystyki Smigusa.

Przy raporcie.

Rekrut: Melduję pokornie, com zgubił bagnet.

Kapitan: Zgubił?... Feldwebel, zamknąć go do aresztu, niech siedzi tak długo, aż bagnet znajdzie!

Aforyzmy.

Dom bez kobiet podobny jest do roku bez wiosny i do wiosny bez róż...

Kobiety często piszą powieści, których same czytać nie mogą, bo są dla kobiet za drastyczne.

Literatura i Sztuka.

* **Arcydzieła Szekspira**, w przekładach Paszkowskiego, Koźmiana i Kasprowicza, Lwów, nakład księgarni polskiej. Wydawnictwa tego wyszły zeszyty od 7 do 10 włącznie, obejmujące dalszy ciąg „Ottela", całego „Króla Lira" i początek „Makbeta", obie te rzeczy w przekładzie Paszkowskiego. Utwory nie objęte tłumaczeniami jego i St. Koźmiana, ukażą się tu po raz pierwszy w przekładzie zaszczytnie w naszej literaturze zapisanego poety Jana Kasprowicza, który dał się też poznać jako tłumacz poetów angielskich.

Redakcyę wydawnictwa objął znany literat i krytyk dr. Henryk Biegeleisen, który dodał monografię literacką, a nadto ocenę i objaśnienia wszystkich jego utworów od najrańszej doby aż do ostatnich lat. Zakończy zaś całe wydawnictwo studyum dr. H. Biegeleisena pt. „Szekspir w Polsce", wymieniające i oceniające szczegółowo wszystkie przekłady, krytyki i przedstawienia sceniczne Szekspira w naszej literaturze dramatycznej.

* **Raptularz** na rok 1895, układu dr. Lesława Borońskiego, rocznik siódmy. W Krakowie, nakładem i czcionkami Drukarni związkowej. Nie potrzeba wcale zachwalać tego wybornego wydawnictwa, które przez sześć lat umiało sobie zyskać należyte uznanie. Doskonałe informacye i objaśnienia, wyborny rozkład notatek przeróżnych na każdy dzień roku, zestawień tygodniowych, miesięcznych i całorocznych, sprawiają, że raptularz powinien się znajdować w każdym domu, w którym dbają o porządne i systematyczne powadzenie spraw.

Część ekonomiczna.

Wiedeń 16 października.

(*Z.*) Sfery giełdowe zajęte były dziś niemal wyłącznie preliminarzem budżetu. Wprawdzie w pierwszych kilku godzinach obrotu giełdowego cyfry jego nie były jeszcze znane, wszelako opowiadano, jako o rzeczy pewnej, że bądź co bądź preliminarz zamyka się znaczną nadwyżką. Skutkiem tego tendencya giełdy była od pierwszej chwili silną. W południe znane były już szczegóły budżetu i wprawiły giełdę w prawdziwie różowe usposobienie, a zwłaszcza wiadomość o kolosalnej nadwyżce z zamknięcia rachunków za r. 1893. Skutkiem tego wzmocnił się nadzwyczaj targ rent, a także na targu walorów spekulacyjnych nastała silna tendencya i kurs ich poszedł w górę. Zwyżka dzisiejsza byłaby przybrała znaczniejsze rozmiary, wszelako nie pozwalała na to słaba dyspozycya targów zagranicznych. W Londynie zwłaszcza wielkie zaniepokojenie wywołała pogłoska, że emir Afganistanu umarł. Pogłoska ta, jakkolwiek nie wiadomo skąd wyszła i znikąd potwierdzenia dotąd nie znalazła, oddziałała niekorzystnie także na giełdę berlińską.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 371.25, węgierskie 467·75, Anglobanki 168·50, Uniony 280·25, Bankvereiny 146·50, Länderbanki 267·25, Ludwiki 216·50, Czerniowieckie 286·50, Elbethale 274·—, Renta papierowa 99·15, srebrna 99·10, austryacka złota 123·65 4% austr. renta wal. kor. 98·05, węgierska złota 122·10, 4% węgierska renta wal. kor. 96·70, dukat 5·89—, 20-frankówka 9·88½, marki 12·18—, ruble 1·33½.

Wiedeń 16 października. Spirytus 17·—17·30. Rzepak na styczeń-luty 11·60—11·70.

Wrocław 16 października. Rzepak nowy zbiór 18·10 marek.

Telegramy „Przeglądu".

Wiedeń 18 października. Wczoraj po południu na zaproszenie prezesa gabinetu ks. Windischgraetza, zeszli się wszyscy ministrowie tudzież prezesi klubów, wchodzących w skład koalicyi na konferencyę nad reformą wyborczą i naradzali się nad tą sprawą przez kilka godzin. Dalszy ciąg narad nad tą sprawą odbędzie się tymi dniami.

Peszt 18 października. W sejmie węgierskim toczyła się wczoraj debata nad temi przedłożeniami kościelno-politycznemi, które izba magnatów odrzuciła. Niektórzy posłowie przemawiali za tem, ażeby przedłożenia te ponownie uchwalić bez zmiany i odesłać je napowrót do izby magnatów, inni zaś żądali wypuszczenia skreślonych przez izbę magnatów ustępów o bezwyznaniowości.

P. Weckerle zbijał podniesione w toku debaty obawy z powodu uznania w drodze ustawodawczej bezwyznaniowości i oświadczył, że rząd obstaje przy tych postanowieniach nie z zasadniczych, ale z praktycznych powodów. Następnie podniósł p. Wekerle, że w całym gabinecie panuje zupełna solidarność we wszystkich kwestyach, wchodzących tu w grę i to zarówno co do zasad, na których ta reforma się opiera, jak i co do sposobu jej przeprowadzenia. Wreszcie wyraził p. Wekerle to przekonanie, iż izba magnatów, uwzględniając wewnętrzną sytuacyę polityczną przy powtórnem głosowaniu przyjmie te reformy i prosił, ażeby sejm bez żadnych zmian odesłał je do izby wyższej.

Dalszy ciąg debaty nad tą sprawą odbędzie się dziś.

P. Pazmandy wniósł interpelacyę w sprawie konfliktu między Austryo-Węgrami a Francyą co do ceł od wina i zalecał rządowi, ażeby przyznał Francyi pewne ulgi przy imporcie win francuskich, a w zamian za to żądał ulg dla eksportu mięsa węgierskiego.

Poczdam 18 października. Król serbski przybył tu wczoraj wieczorem. Na dworcu powitał go cesarz Wilhelm w towarzystwie książąt. Podczas obiadu galowego wzniósł cesarz toast na cześć gościa, a król Aleksander odpowiedział toastem, w którym wyraził życzenie, ażeby przyjacielskie stosunki między Niemcami a Serbią coraz bardziej się wzmacniały.

Peszt 18 października. Komisya finansowa sejmu węgierskiego rozpoczęła wczoraj obrady nad budżetem. W toku debaty poruszono kwestyę utworzenia osobnego królewskiego dworu węgierskiego. P. Wekerle oświadczył, że osoby należące do wewnętrznej służby dworskiej wykluczone są od wszelkich funkcyi prawnopaństwowych i że te funkcye spełniają na Węgrzech wyłącznie węgierscy dygnitarze. Urządzenie wewnętrznej służby dworskiej należy jednak do zakresu działania Najjaśniejszego Pana, a podziału jej na osobną austryacką i osobną węgierską nie uważa p. Wekerle ani za odpowiednie, ani za możliwe do przeprowadzenia.

Wiedeń 18 października. Dzisiejsza *Wiener Zeitung* ogłasza ustawę z 2 października zmieniającą postanowienia o opodatkowaniu piwa.

Poseł austryacki w Waszyngtonie Schmitt-Tavera mianowany został posłem w Brazylii, a do Waszyngtonu przychodzi jako poseł p. Hengelmüller będący dotychczas w stanie rozporządzalności.

Nadesłane.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona na siebie za nią żadnej odpowiedzialności.

Lwów dnia 18 października (Z Izby handlowej).

Akcye za sztukę: Kolei gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 215·50 do 216·50. Kolej Lwow.-Czern. Jassko po 200 zł. w. 285.50 do 288·50. Banku hipotecznego po 200 zł. w. a. 416·— do 426·—

Listy zastawne za 100 zł.: Banku hipot. gal. 5% losow. w 40 lat 101·10 do 101·80, 5% z 10% prem. 110·— do 110·70, 4½% los. w 50 lat. 100·— do 100·70. Banku krajowego 4½% los. w 51 lat. 100·— do 100.70. Banku krajowego 4% los. w 57 lat. 96·50 do 97.20. Tow. kredyt. gal. ziemsk. 4% (I. emisya) 97·30 do 98·50, 4% los. w 41½ los. 97.60 do 98·30, 4% los. w 56 latach 96·50 do 97·20. 4½% lat. w 52 lat. —·— do —·—.

Obligi za 100 zł.: Galic. funduszu propinacyjnego 4% 96.70 do 97.40. Bukow. funduszu propinacyjnego [illegible] 101·70 do —·— Kom. banku krajowego 5% w. a. [illegible] 102·— do 102·70, Pożyczki krajowej 6% 105·50 do —·— 4½% 100·— do 100·70 4% z roku 1891 95·80 do 96·50 [illegible] z roku 1893 95·80 do 96·50.

Monety. Dukat cesarski 5·85 do 5·95 Napoleondor 9·84 do 9·94. Półimperyał 10·15 do —·—. Rubel rosyjski srebrny czy papierowy 1.33 —do 1.34 ·— 100 marek niemieckich 60·70 do 61·15.

Wiedeń dnia 18 października, (godz. 11 w południe. Kredyty 369·65, kred. węgierskie —·—, Anglob. 168·80, Uniony —·—, Bankvereiny —·—, Länderbanki 266.30, Akcye tytoniowe 229.—, Staatsbahny 366·75, Lombardy (z kup.) 104·85 Elbethale —·— Renta papierowa —·—, Renta węg. 4% kor. —·— Renta węg. złota 4% —·—, Alpiny —·—, Marki 61·—. Losy tur.

6)

VERA

przez *Florencyę Marryatt.*

(Ciąg dalszy).

— Ha, niech i tak będzie, kiedyś taka uparta — kapitulował pułkownik. — Ale masz tu oto adres mego brata w Lincolns Inn. Jeżeli do wieczora nie znajdziesz służby, to udaj się do niego, a on wynajdzie ci stosowne umieszczenie. Pójdę zaraz uprzedzić go. Byłbym szczerze rad, gdybym mógł więcej uczynić dla ciebie, moje biedne dziecko, ale wiesz, jak jestem skrępowany.

To mówiąc, westchnął, uścisnął ją za rękę i oddalił się szybko, a powóz ruszył w stronę kantoru.

ROZDZIAŁ VII.

Onieśmielona, z bijącem sercem, Vera weszła do posępnie wyglądającej szarej kamienicy, w pobliżu której znajdował się kantor. Potrącana przez tłum wyczekujących sług o zuchwałych i znudzonych twarzach, stanęła na uboczu, przyparta do ściany, rozglądając się z niejaką trwogą po tak dziwnem i niezwykłem otoczeniu. Gdy przyszła na nią długo wyczekiwana kolej, przywołano ją do okienka, z którego wyglądała głowa urzędnika. Ten zapisał jej imię i nazwisko, ściągnął z niej opłatę wpisowego i z kartką wysłał ją do kancelaryi, gdzie przy długim na środku stojącym stole kilku poważnie wyglądających mężczyzn i kilka kobiet zajętych było pisaniem i przeglądaniem dużych czarno oprawnych ksiąg. Cały szereg kucharek, pokojówek i pomywaczek snuł się przed tym areopagiem, odpowiadając na zadawane im pytania.

Vera, znużona bardzo, usiadła cicho na jednej z drewnianych ławek w kącie, a bladość jej i smutek zwróciły uwagę jednej z matron, która podeszła ku niej i odbierając z rąk jej kartkę, odezwała się z dobrocią:

— Panienka wydajesz się bardzo zmęczoną.

— Bo jestem nią istotnie, pani — odparła bliska płaczu. — Spotkało mnie wielkie nieszczęście. Nie wiem, co pani powie na moją historyę.

— Zacznijmy od początku... Panienka jesteś cudzoziemką?

— Tak, pani; po części. Mówię płynniej po francusku, niż po angielsku.

— I jakieś dotąd zajmowałaś miejsce?

— Miejsce panny służącej, ale gotową jestem podjąć się choćby najpodrzędniejszych posług, byle tylko dostać się za granicę, do Belgii.

— A, więc ci chodzi o miejsce na wyjazd. A jakichże żądasz zasług?

— Zasług?... Nie pomyślałam nigdy o tem, pani...

Matrona spojrzała na nią z niepomiernem zdziwieniem, a wtedy Vera opowiedziała jej, że przybyła z Indyi z panią Dowdson, która opłaciła koszta jej podróży, a teraz w chwili uniesienia wydaliła ją od siebie.

— Ale nie odmówi ci przecież wydania świadectwa? — zapytała matrona.

— Otóż tego właśnie obawiam się, że odmówi — odparło biedne dziewczę przyciszonym głosem. — Jestem przekonaną, że pan pułkownik będzie łaskaw przemówić za mną; ale pani zarzekła się, że nie wyda mi ani świadectwa, ani pensyi.

— I zostawiła cię na bruku?... ciebie, tak młodą, obcą tutaj, bez opieki, bez sposobów utrzymania?... A cożto za niegodziwość! — oburzyła się matrona. — Wstawiennictwo pułkownika nie przyda się tu na wiele, moje biedne dziecko, i przykro mi jest powiedzieć ci, że bez świadectwa trudno ci będzie dostać miejsce. Ja sama, choćbym chciała, nie mogę cię nikomu rekomendować.

— Och, pani! zlituj się, nie mów tego! — zawołała Vera, zalewając się łzami. — Cóż ja nieszczęśliwa pocznę ze sobą? Nie mam się do kogo udać; obcą jestem zupełnie w tym kraju, nie znam nawet ulic tego miasta i nie mam tyle pieniędzy, aby własnym kosztem udać się do Brüssenburga, choćbym nawet wiedziała, jak odbyć tę podróż.

— Więc głównym twoim celem jest dostać się za granicę? Nie zależy ci tak bardzo na wynagrodzeniu?

— O, tak, tak, pani. Nie dbam o zapłatę, bylebym tylko mogła dostać się jakim sposobem do Brüssenburga. Tu jestem zupełnie obcą. Tam mam krewnych, przyjaciół... Muszę, muszę dostać się tam koniecznie.

Z grona przysłuchujących się ciekawie kandydatek na miejsca, jedna poszepnęła cicho do drugiej:

— A możeby pani Conway Jones, moja dawna pani...

— Ale czy chciałaby wziąć ją bez świadectwa? — zapytała matrona. — Ona taka wymagająca.

— Musi spuścić ze swoich wymagań, bo jakbyśmy wszystkie zaczęły świadczyć przeciw niej, toby pewnie żadna nie chciała iść na nasze miejsce — zuchwale odparła pokojówka, za co matrona zgromiła ją surowo, potem zaś zwracając się do Very, rzekła:

— Otóż, moje dziecko, znam jedną panię bardzo dobrą, ale nie bogatą, która jest właśnie na wyjezdnem do Belgii i, jeżeli się nie mylę, do tego właśnie miejsca, któreś wymieniła. Poślę cię zatem z listem do niej, a że jej pilno, więc może pominie kwestyę świadectwa i zgodzi się wziąć cię na próbę. A gdybyś się dostała do Brüssenburga, to tam już dałabyś sobie sama radę.

— O tak, pani... najniezawodniej! — zawołała Vera w uniesieniu. — Tam już skończą się wszystkie troski moje i kłopoty. Byle tylko, mój Boże!... byle tylko dostać się tam co prędzej!...

Na samą myśl o tem taki wyraz szczęścia rozpromienił jej twarzyczkę, że wszyscy ze zdziwieniem jęli się jej przyglądać.

— I nie będziesz bardzo nalegała o regularne wypłacanie pensyi, nieprawdaż? — kończyła matrona. — Pan Conway Jones utrzymuje się ze swoich dochodów (tu dwie sługi roześmiały się znów na cały głos, za co matrona zestrofowała je ostrem spojrzeniem), ale raty ich zalegają czasami tak, że zdarza się, iż sługi czekać muszą na pensyę. Wolę cię z góry uprzedzić o tem, aby uniknąć dalszych zytargów.

— O, ja o nic nie dbam... o nic... byłebym się tylko mogła dostać do Brüssenburga — odparła Vera zgorączkowana. — Całem sercem dziękuję pani za jej dobroć. Niech Bóg panią wynagrodzi stokrotnie.

To mówiąc, w uniesieniu wdzięczności Vera schyliła się i pocałowała matronę w rękę, a ta nie nawykła do takiej pokory ze strony gminnych dziewcząt, z któremi miewała codzień do czynienia, rozczulona pomimowoli uścisnęła jej głowę. Szybko nakreśliwszy kilka słów na kartce, wetknęła Verze list w rękę i przykazała jej, aby nie tracąc czasu, udała się pod wskazany adres.

— A gdybyś przypadkiem nie zgodziła się, moje dziecko — rzekła na odchodnem — to wróć tu do mnie, a ja zajmę się tobą i zobaczę, co się da zrobić dla ciebie w przyszłości.

Vera, nie posiadając się ze szczęścia, wymknęła się szybko z kantoru, a zacna kobieta zwracając się do swoich współpracowników, rzekła:

— Dziwnie zainteresowało mnie to śliczne dziecko. Tyle w niej dystynkcyi i szlachetności, że wygląda na panię, a nie na sługę. Cóż to za niegodziwość, żeby taką istotę wyrzucić na bruk, bez opieki! To woła o pomstę Bożą. Sądzę, że pani Conway Jones weźmie ją, bo za granicą zawsze łatwiej się jej pozbędzie, niż innej, któraby chciała wracać do kraju; ale jeżeli biedactwo wyciągnie kiedy od niej choć szeląg zapłaty, no! to powiem, że sprytniejsza jest od drugich.

Vera, z sercem lekkiem jak piórko, wydostawszy się na ulicę, wskoczyła do pierwszej stojącej dorożki i kazała się wieźć na Rutland-street. Gdy oznajmiła lokajowi, w jakim celu przybyła, kazano jej usiąść w przedpokoju na wysokiem rzeźbionem krześle, ozdobionem tarczą herbową, i czekać, aż się pani spodoba wezwać ją do siebie.

Widocznie sposobiono się do wyjazdu, gdyż cała sień zastawiona była pakami, a dokoła porozrzucana była słoma. Służący, który przyszedł jej otworzyć, na liberyjnym garniturze narzucony miał płócienny fartuch. Vera, rozglądając się dokoła po zbytkownem otoczeniu, dziwiła się w duszy, iż matrona w kantorze nazwała panią Conway Jones osobą nie bogatą, a zdziwienie jej wzmogło się jeszcze, gdy przez zasłane dywanem schody wprowadzono ją do wykwintnego i wonnego buduaru, w którym pani domu, otulona w koronki i miękkie wschodnie tkaniny, spoczywała na sofie, przerzucając kartki francuskiego romansu. Była to kobieta lat trzydziestu kilku, o poprawnych rysach, ale tak zwiędłej i wyniszczonej cerze i tak przerzedzonych na skroniach i niedbale zaczesanych włosach, że na pierwszy rzut oka wydawała się o wiele starszą. Przeczytawszy list, który jej podano, obojętnie podniosła oczy na Verę, która zarumieniła się gwałtownie pod jej badawczem spojrzeniem.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Odpowiedzialny redaktor: Ludwik Masłowski. Papier z fabryki Braci Fijałkowskich w Białej. Z drukarni nar. W. Manieckiego. — Zarządca W. Hodak.